POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 7-go grudnia 1940r.*** **Rok II. Nr. 39**

KRAJ I WOJSKO

Kiedy niedawno temu opuszczałem Polskę, jeden z moich starszych przyjaciół, żegnając się ze mną, powiedział mi następujące słowa: "Kiedy Pan będzie już poza granicami Polski, w jakimś wolnym kraju, kiedy budząc się rano, będzie się Pan budził jako wolny człowiek i będzie Pan mógł swobodnie mówić i normalnie żyć—*niech Pan nie zapomni*! niech Pan nie zapomni tego, co Pan tu przeżył, i przecierpiał przez ten cały rok niewoli, niech Pan nie zapomni tego, co Pan słyszał i widział. Niech Pan ...ym oczy otwiera, niech ...n mówi—niech Pan krzyczy! żeby Pana usłyszeli i ci, którzy nie wiedzą, bo głos umęczonej Polski do nich jeszcze nie dotarł, i ci, którzy jeszcze nie wiedzą, bo im wygodnie nie wiedzieć i ci, którzy wiedzieli ale już zapomnieli. Bo ludzie tak łatwo zapominają!"

Zapominają o tym, że nieludzcy zaborcy mordują w Polsce tysiące niewinnych ludzi, że likwidują nasze muzea, biblioteki i zbiory naukowe, zamykają szkoły i niszczą, bezlitośnie, a planowo i systematycznie cały nasz dorobek kulturalny.

Że wywożą naszą młodzież do Niemiec lub w głąb Rosji, gdzie młodzież ta żyje w strasznych warunkach ucisku i niewoli.

Że rzesze całe naszej inteligencji, dziesiątki tysięcy Polaków, umiera śmiercią męczeńską w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Że nasze dziewczęta plugawione są w niemieckich obozach żołnierskich, a dzieci polskie, oderwane od swych matek, wychowywane są w niemieckich ochronkach i sowieckich *prijutach* na przyszłych wrogów polskości.

I że całe setki tysięcy naszych rodaków, wywiezionych w bezkresne stepy Syberii, bez żadnych możliwości do życia wiedzie tam żywot katorżników, nie mając już żadnej nadziei na przetrwanie i doczekanie chwili wyzwolenia i tej godziny, która wybije jako *godzina kary* na największych zbrodniarzy w dziejach ludzkości.

* * *

Najbardziej nawet nieszczęśliwy człowiek, ma swoje chwile radości. Gdy sen dobroczynny oderwie go od tragizmu dnia codziennego, stają mu przed oczami wizje minionych dni szczęśliwych i wizje lepszego jutra. Jakby snem kojącym, jakby słońca promieniem w mrokach ciężkich dni w Polsce są dla nas wieści o polskim wojsku.

Na falach eteru płyną cudowne słowa polskich audycji radiowych. Słuchane z narażeniem życia, słowa te krzepią zmęczone udręką serca i dodają siły do dalszej walki z bezlitosnym ciemięzcą. Armia polska walczy dalej!

Ta armia, która nigdy nie skapitulowała, która walczyła z przemożną siłą wroga śród żyznych równin Polski, w niedostępnych skałach Norwegii, na polach Flandrii, i na kwitnących ziemiach Francji i która walczy nadal, zawsze nieugięta, u boku zaprzyjaźnionej Anglii, na pełnych zieleni wyspach brytyjskich i na słońcem zalanych, pustynnych piaskach Egiptu. Walczy o wolność. O wolność naszą i o swobodę ciemiężonych narodów Europy, walczy z wrogami całego świata, ze zdziczałą rasą niemiecką, i z sowiecką czernią.

Prują dalekie morza okręty wojenne pod polską banderą. Szumią śmigła nowoczesnej husarii polskiej, uskrzydlonych rycerzy, którzy laurem nieśmiertelnym ozdobili imię polskiego lotnika.

I uśmiech szczęścia znów gości, choćby na krótką chwilę na smutnych, stroskanych twarzach. I nadzieja znów kołacze do serc. Doczekamy, doczekamy tej chwili, radosnej, gdy spłyną z przestworzy niezwyciężeni lotnicy polscy, gdy wkroczą żołnierskim, twardym marszem wspaniałe wojska nasze. Znajdą nas gotowych, by razem pomścić nasze krzywdy. O dniu upragniony, dniu zemsty i kary nad zbrodniarzami!

Jak grom z jasnego nieba spadła na nas wiadomość o załamaniu się Francji. Komunikaty radiowe mówiły nam wprawdzie o ciężkich walkach, ale nie zapowiadały katastrofy. A wszystkie nadzieje nasze opierały się na tym, że właśnie na Francji załamie się niemiecka potęga i udręki nasze jeszcze w tym roku się skończą. Docierały i do nas słowa i odezwy Wodza Naczelnego skierowane do armii polskiej, dochodziły wiadomości o bohaterskich bojach tej armii, wiadomość o zdobyciu Narviku przez Brygadę Podhalańską, i rosły w nas serca z dumy. Z zapartym tchem śledziliśmy krok za krokiem postępy działań wojennych, nadzieja to rosła—to opuszczała nas. Aż padł cios w serca nasze wymierzony—rozejm, zaprzestanie działań wojennych, haniebne warunki dyktowane przez zwycięzcę. A o naszych wojskach, o polskiej armii—ani słowa?

* * *

Ciężkie były te dnie czerwcowe w Warszawie. Upalne, duszne dwa miesiące bez deszczu. Powietrze wisiało jak ciężki całun krepowy, pyłem przesycone. Brak tchu w piersiach, zmora dusi, przerażają nas myśli własne. Więc—koniec? Więc—po to tyle krwi i tyle łez przelano? Poco tyle ofiar i tyle niedoli złożono na tym ołtarzu poświęceń, za naszą wolność—i waszą?

* * *

Lecz oto lecą, na falach eteru, jak ptaki promienne, słowa kojące, słowa radosne, słowa, jak błysk miecza, jak kuli zgrzyt—*walczą*! Polacy walczą—osłaniają odwrót cofających się bezładnie wojsk francuskich. Przebijają się ku morzu, przerąbują sobie drogę do Szwajcarii! Płyną okręty, jeden za drugim, łodziami, kutrami, nocą dniem, pod gradem pocisków, zawsze niezwyciężeni!

Dochodziły do nas z ust do ust podawane wiadomości o bohaterstwie, z jakim nasi walczyli. I jak nasz Wódz Naczelny, w chwili gdy, zda się, zwątpili—nie zwątpił, innych przykładem swym pociągnął. I jak po licznych przejściach i niezwykłych przygodach, z których każda osobną stanowi epopeję, ściągały w ordynku wojska nasze ku brzegom Anglii.

* * *

Istnieje niewątpliwie lepszy od radia,—tajemny sposób przesyłania wiadomości na odległość. Przecież każdy z nas miał kogoś bliskiego wśród tych, co w wojsku byli. Jeszcze nie słyszano komunikatu, nie widziano gazety, a już szła od ust do ust wiadomość przesłana od serc tych z wojska—do serc tych w kraju. I niech się Niemcy nie łudzą, że murem chińskim zakazów, nakazów i represji odgrodzą nas od naszych najbliższych.

My tam w Polsce wiedzieliśmy czasem już—zabawne powiedzieć—zanim to się jeszcze stało. Opowiadaliśmy sobie bajeczki, jakby to ładnie było, gdyby tak na przykład lotnicy nasi. . . . No i cóż, bajeczki się sprawdzają co raz lepiej, co raz ładniej. Cierpliwości tylko jeszcze trochę. Ciężko, naturalnie bardzo ciężko być cierpliwym, kiedy głodno, kiedy chłodno, kiedy tak nas gnębią. Ale choć nie wszyscy w kraju doczekają tej wielkiej chwili wyzwolenia, ci, którzy jej nie doczekają, będą mogli powiedzieć o sobie: "non omnis moriar"—nie cały umrę. Bo z ich krwi, bo z ich niedoli, z ich snów niewyśnionych, z legendy żołnierza-tułacza — narodzi się ta Nowa Polska.

* * *

Ta Nowa Polska, taka jak ją widzimy w myślach naszych, i jak ją czujemy w sercach naszych. My—to znaczy każdy, kto może o sobie uczciwie powiedzieć: jestem Polakiem. Dziś przecie w Polsce wszyscy czujemy się równi. Nędza nas zbratała, złączył nas wróg wspólną obrączką kajdan niewoli i jednakowo czerwona krew wsiąka w polską ziemię z przestrzelonych niemiecką kulą serc—chłopa, robotnika i arystokraty, we wspólnej pochowanych mogile.

Nie patrzyli mi w rejestry partyjne, kiedy mnie brali do roboty. Pytali—czy chcę pracować, i czy będę uczciwie pracował. Oto są kryteria, z jakimi co raz częściej obecnie podchodzi się do zagadnienia *człowieka* jako elementu wysiłku zbiorowego w pracy społecznej w kraju. I dlatego ta praca, choć w tak nieprawdopodobnie ciężkich prowadzona warunkach—daje tak piękne wyniki. Ofiarność, solidarność, poświęcenie bez granic i wiara. Ta wiara co góry przenosi, rzeczy niemożliwe czyni łatwymi, i prostymi, i miłość, z której rodzi się ofiara.

* * *

Wielka, silna i sprawiedliwa. Taka będzie ta nasza Polska, którą każdy z nas, Polaków, nosi w swoim sercu. Czy tam, w kraju niewoli, czy tu w bratniej nam Anglii, czy gdziekolwiek na ziemi bije polskie serce wszyscy jednako jesteśmy siewcami przyszłych polskich żniw. Siejmy zdrowe ziarno wiary, miłości i ofiary, abyśmy rychło znów na swojej własnej ziemi spożywali polski chleb.

Józef Junosza

WŁAŚCIWE SŁOWA

Nie łatwo to pisać w piśmie wojskowym o przemówieniach najwyższych dowódców, zwłaszcza pisać pochlebnie. Z przedwojennej przeszłości wiemy, jak takie artykuły zalatywały ubocznym produktem ropy naftowej. W ogóle zachwyty podwładnych tylko dlatego nie są karalne, że jedynie Bóg czyta w myślach ludzkich. Nie można jednak z obawy przed podejrzeniem uniżoności — nie zwrócić uwagi na to, co jest uwagi godne.

Takie było przemówienie generała Sikorskiego na zebraniu wybitnych przedstawicieli angielskiego świata umysłowego. Nie było to przemówienie Naczelnego Wodza do żołnierzy, lecz generała Sikorskiego do Anglików. Zdarza się to rzadziej—przeto może więcej zaciekawić czytelnika i większą dać swobodę piszącemu.

Generał mówił do "*ludzi myśli i pióra, których ideje posiadają wagę czynów.*" Tak jest. Dziś słowo jest także czynem. Ludzie są chciwi tego słowa: jedni czekają na słowa pociechy, inni—na słowa wyjaśnienia, inni—zachęty. Nadsłuchują go wszyscy: jedni siedząc nad głośnikiem radiowym—inni chwytając do rąk dziennik.

Nam rozgadanym Polakom się zdaje, że tego słowa mało w Anglii, że Anglicy powinni sobie i światu więcej mówić o tym, o co ta wojna się toczy, a co się toczyć musi. A choć słowo angielskie nie zagłuszy ryku niemieckiej propagandy—to prócz uszu są jeszcze rozumy i serca, do których słowo angielskie łatwiejszą ma drogę, niż niemieckie.

Gdyby przywiązywano większą wagę do słów ludzi, którzy znają Niemców, to byliby pamiętali o słowach generała Sikorskiego wypowiedzianych w 1934 r., że "*pokój trwać będzie tak długo, jak długo jego zwolennicy będą solidarnie i zwarcie występować w jego obronie . . . bo pokoju nie można kupić. . . . —*"

Jakaż to była przestroga dla neutralnych, którzy spodziewali się, że krokodyl zje innych i tkwili w dobrobycie—niezdolni do ofiar—i krokodyl połykał jednego za drugim. Czy będzie to nauką na przyszłość? Jak dotąd doświadczenie nie było źródłem mądrości narodów.

Śmiało generał Sikorski ocenił jednakowo Niemcy i hitleryzm rozumiając słusznie, że "*wśród* 80 *milionów nie znalazł się nawet znikomy procent takich, co by potępili kult barbarzyństwa, kłamstwa, gwałtu i sadyzmu zaszczepiony przez Hitlera. Jadem hitleryzmu przesiąkło już całe młode pokolenie niemieckie; co mogło by na długo zaważyć na dalszym rozwoju ludzkości, gdyby wojna, jaką toczymy zakończyła się połowicznym zwycięstwem.*"

Bardzo te słowa były potrzebne, bo choć dziś Anglicy zrozumieli, że "Niemcy to Hitler, a Hitler to Niemcy," to jednak do niedawna było inaczej. A stare nałogi nie zawsze leczy się doszczętnie.

Pięknie i zręcznie zestawił nas generał Sikorski z Anglikami. Był tam słuszny podziw dla ich "*dumnej determinacji*" i "*spokojnej i opanowanej walki na wszystkich frontach,*" było nawet wyrażone pragnienie, abyśmy sobie jak najwięcej ich cnót przyswoili, ale nie było w tym kompleksu niższości—przeciwnie "my i oni" było spięte doskonałym paradoksem, że kochając jednakowo ideały w różny sposób "*nasze marzycielstwo nie jest zbyt odległe od waszej trzeźwości.*"

W przemówieniu generała Sikorskiego była co chwila nuta szczerej śmiałości. Bo oto znowu powiedział Anglikom: "*My Polacy prowadzimy tę wojnę nie tylko pod hasłem odzyskania wszystkiego, co nam zagrabiono. Nasze aspiracje sięgają dalej.*"

Nie ma co ukrywać. Niedawno jeszcze może nie byłoby to zrozumiałe w tym otoczeniu. Ale dzisiaj rozumieją i Anglicy słowa Dmowskiego—Polska albo będzie silna, albo jej wcale nie będzie. A nie był to frazes w ustach generała Sikorskiego. Nie była to chwalba tych "mocarstwowców," co to gębą zdobywali ziemie od Berlina do Uralu.

Generał Sikorski mógł się powołać na czyn wielkiego znaczenia już dziś ogólnie doceniany, ale którego prawdziwą doniosłość wykaże przyszłość—sojusz Polski z Czechosłowacją. To jest początkiem nowego porządku w Europie, porządku opartego na dobrej woli i zgodzie narodów. To jest nasz polski porządek, który tak samo zespolił z nami kiedyś Litwę, a jest tak krańcowo różny od "porządku" stworzonego żelazem a utrzymywanego niewolą.

Mówiąc o przyszłej Polsce zapewnił Generał, że będzie ona sprawiedliwa dla wszystkich. Pragniemy tego wszyscy i wierzymy w to; że wyniesie ona tych, co byli najbardziej ofiarni i najbardziej ucierpieli, a wyrzuci i poniży tych, co próby nie wytrzymali. Miarą zasług będzie się mierzyć prawa obywatelskie—tak jak tego chce konstytucja.

Bardzo było potrzebne powiedzić to wszystko naszym przyjaciołom angielskim i dobrze zrobił Generał Sikorski, że tam przemówił i tak przemówił.

Były to właściwe słowa na właściwym miejscu i dlatego można powiedzieć, że były czynem.

St. Sz.

Naczelny Wódz mówi o nas

W nr. 37 "Wiadomości Polskich" ukazała się "Rozmowa z generałem Sikorskim," przeprowadzona przez Zygmunta Nowakowskiego, redaktora tego pisma, popularnego pisarza i naszego—nas żołnierzy i "Polski Walczącej"—wielkiego przyjaciela. Wywiad Nowakowskiego z Naczelnym Wodzem ma wszystkie walory jego świetnego pióra, błyska naprzemian sentymentem i humorem, pełen jest głębokiej troski obywatelskiej i miłości do żołnierza. Nie mogąc go tutaj przytoczyć w pełnym brzmieniu wybieramy to, co nas dotyczy, co Wódz Naczelny powiedział o nas i naszych żołnierskich sprawach.



Generał Wł. Sikorski rozmawia z żołnierzem po defiladzie w jednym z obozów w Szkocji; w głębi Pan Prezydent R.P. w rozmowie z oficerem angielskim, z lewej strony Lord Provost miasta Glasgow

ARMIA POLSKA W ANGLII

—Układ wojskowy, zawarty między Polską a Wielką Brytanią, daje naszej armii zupełną suwerenność i stanowisko całkiem równorzędne z armią angielską. Pod tym względem umowa nie zostawia cienia wątpliwości—mówi generał.

—Panie generale, wiem, że nie wolno mi prosić o cyfry, jednak w każdym razie rośniemy, a nasi ściągają różnymi drogami?

—Zapewne. Jest nas mało, ale i dużo równocześnie. Żołnierz pierwszorzędny. Żołnierz, który budzi nie tylko szacunek, ale podziw u obcych. Jest go trzy razy tyle ile było w legionach.

TRZY ELEMENTY SKŁADOWE

—Panie generale, wspominano nieraz, że obecna armia polska składa się z trzech zasadniczych elementów: z polskiego oficera naszej dawnej armii, z młodego inteligenta z Polski, który po to przyszedł, aby walczyć, a wreszcie z polskiego robotnika z Francji czy Anglii, który od lat żył na wychodźstwie z dala od kraju? Jakie jest zdanie pana generała o każdym z tych elementów?

—Zacznijmy od szaraków żołnierskich, od emigrantów robotniczych. Można było mieć różne obawy czy ten element się nada. Trzeba zrozumieć, że wśród wychodźstwa polskiego we Francji mogło być wiele żalów, zadrażnień. Ci ludzie nie znaleźli dla siebie chleba w ojczyźnie, musieli go szukać u obcych, nieraz byli wyzyskiwani, nieraz nie znajdowali właściwej opieki ze strony naszych władz konsularnych z niedawnej przeszłości. Wolę już o tym nie wspominać. A jednak trzeba stwierdzić, że okazali się oni pierwszorzędni, że zrozumieli należycie doniosłość walki z Niemcami, że ich zapał, dobra wola, staranie, dobrze świadczyły o ich uświadomieniu narodowym.

—A młody inteligent?

—Wie pan dobrze jak rok temu lubiłem zajeżdżać do Coëtquidan, gdzie tworzyła się pierwsza we Francji polska szkoła podchorążych, gdzie szeregi żołnierskie zasilał "cenzusowiec" z Polski. Wy literaci, weźmiecie chyba na wasze pióra epopeę tych ludzi, studentów, skautów, uczniaków, którzy w listopadzie i w grudniu i długo potem przedzierali się poprzez dziesiątki zielonych granic do armii polskiej we Francji. Twardą w niejednym mieli szkołę, nie wszystko dało się zrobić, ale naprawdę młode pokolenie polskie pokazało, że jest godne orląt lwowskich i niedawnych obrońców Katowic, Warszawy, Radomia. W kampanii francuskiej i norweskiej pokazali w dodatku, że skorzystali niezmiernie dużo z wykładów coëtquidańskich, dowiedli odwagi na polu walki, celowości w dowodzeniu, umiejętności w postępowaniu ze swymi kolegami lub podkomendnymi. A nowy, właściwy stosunek do żołnierza w armii—oto przedmiot moich stałych trosk.

MARYNARKA

—Wspomniał pan generał o marynarce, podobno wzrosła ilość okrętów?

—Marynarka wojenna—aktualnie obok lotnictwa przedmiot naszej największej dumy—została już wzmocniona poważnie w porównaniu z jej stanem przedwojennym. Ale to dopiero początek. Wszystkie straty w tonnażu wyrównali nam Anglicy z naddatkiem. Na miejsce "Gromu" jest następca, są także inne jednostki, jeśli zaś idzie o łódź podwodną, którąby zastąpiła niezastąpionego zresztą, bohaterskiego "Orła," i o tym pomyślano. Kończy się budowa spadkobiercy Orłowej sławy. Jego załoga napewno zapragnie dorównać "Orłowi."

—Dalsze uzupełnienia są już w drodze—ciągnie generał.*—Nasza marynarka powróci do Oksywia znaczenie silniejsza.*

—Przy zawieraniu polsko-angielskiej umowy wojskowej zmieniony został układ w sprawie lotnictwa, które do niedawna stanowiło część R.A.F., podczas gdy obecnie jest jednostką samodzielną i suwerenną, jak cała polska armia. Rekordy naszych lotników są rzeczą powszechnie znaną. Określić ich można jednym słowem: wspaniali.

LOTNICTWO

—Wiem, o co pan chce spytać. Anglicy rozumieją doskonale potrzebę, i w tym kierunku nie trzeba ich ani przekonywać ani namawiać. Mimo to chwilowo nasi lotnicy muszą być cierpliwi. W miarę dłuższych nocy dotrą do Polski i dosięgną tam zarówno przemysł niemiecki, który schronił się na naszej ziemi, jak niemieckie szkoły lotnicze. To kwestia czasu jedynie. Później będziemy mieli bliższe bazy.

—Czy pomyślano zawczasu o ulotkach?

—Oczywiście. Bomby będą dla Niemców, dla Polaków—pozdrowienia braterskie i słowa otuchy. Zresztą oni otuchę mają, duch jest tam pierwszorzędny.

—Wyobrażam sobie, że Kraj oszaleje z radości, gdy da się słyszeć huk bomb!

—Oni są pewni, że to musi nastąpić. Wiedzą o systematycznym bombardowaniu Niemiec, wiedzą o co raz to dalszym zasięgu R.A.F.u, wiedzą o ilości aparatów, zestrzelonych przez polskich lotników. . . . Widzi pan, na przekór tym niebywałym sukcesom (przeszło 300 samolotów strąconych, czyli z górą 10% tego co strącono nad Anglią), tylko znikoma część naszych lotników bierze udział w walkach. Gros, właściwie dwie trzecie, musi być w rezerwie. Ze względu na przyszłość. Nasza siła powietrzna jest kilkakrotnie większa, niż przed wojną, właśnie dlatego jednak musimy dbać o rezerwę. Gdy przyjdzie do działania, do ofensywy na wielką skalę, do ofensywy, którą nazwać by można polską, lotnicy nasi będą pierwsi. Pójdą przed innymi.

OFICER NOWEJ ARMII

—Panie generale, a oficer polski?

—Dowodzenie—a to jest zadaniem oficera—jest rzeczą niezmiernie trudną i odpowiedzialną. To nie tylko kwestia wiedzy wojskowej. To jeszcze umiejętność wywoływania u podwładnych posłuchu dla siebie, szacunku, autorytetu opartego nie tylko na szarży, ale nawet—na miłości. Dobrym oficerem być nie łatwo. W dodatku, niech pan pomyśli, jakże różny był ów rekrut, jakiegośmy mieli w Polsce, od tego, jakiego mamy tutaj, jak trzeba się było dostosować do zmienionego terenu działania. Lecz mogę panu z radością powiedzieć, że widzę u naszego polskiego oficera zdrowe tendencje do korzystania z tragicznej lekcji wojennej, wczucia się w nowe warunki, przyswojenia sobie zdobyczy i doświadczeń, jakie przynosi ostatnia doba. Obserwuję pilnie i z największą radością rozwój tych wszystkich zalet u naszych oficerów, i sądzę, że te dobre przykłady, jakie już znam i ocenić we właściwym czasie należycie potrafię, znajdą licznych naśladowców. Korpus oficerski bez względu na trudności jest ożywiony jak najlepszym duchem. Dowodem tego choćby pociągi pancerne, które dowództwo angielskie bez wahania powierzyło wyłącznie naszym oficerom.

—Wyłącznie?

—Tak jest. Oficer pełni tam służbę szeregowca, poza służbą jest znowu oficerem. Oczywiście, te pociągi pancerne nie rozwiązują całego zagadnienia bez reszty. To tylko jeden odcinek. Miarą zdrowych nastrojów w korpusie oficerskim jest m.in. i to, że gdy zaczęto tworzyć oddział specjalnych "rozbrajaczy bomb," zgłosiło się mnóstwo ochotników. To samo, i w stopniu daleko wyższym, dotyczy formacji paraszutystów.

—Czy ta rzecz posunęła się na przód?

DUCH OFENSYWNY

—Tak. To sprawa z gatunku niezmiernie ważnych. Na razie trenuje kilkudziesięciu oficerów, czeka pięć razy tylu kandydatów. Znajdzie się ich znacznie więcej i wśród oficerów i wśród żołnierzy. Wojsko pali się do tego, wojsko przemyśliwa tylko nad sposobami, by wojna z tej wyspy wróciła czym prędzej na kontynent, a z kontynentu do Polski. W każdym namiocie odbywają się dyskusje, próby wynalazków, próby. . . . No, nie o wszystkim wolno pisać i mówić, ale ofensywa wypełnia każdą myśl i oficera i żołnierza, dla którego współudział w obronie Anglii jest zaledwie odskocznią. Obecnie skończyło się bezrobocie w wojsku. Objęliśmy jeden z najpoważniejszych odcinków frontu, przy czym żołnierz spod namiotu zawędrował przeważnie pod dach. To znaczy bardzo wiele! Jeśli idzie o żołd, żołnierz chwali sobie jego wysokość. Wyżywienie doskonałe. Oficerowie od majora wdół mają już pełne płace a reszta będzie załatwiona w najbliższym czasie. Sprawa zaopatrzenia rodzin żołnierskich załatwiona została zgodnie z normami obowiazującymi w armii angielskiej. Anglicy są powolni, lecz lojalni, i dotrzymują słowa. Trzeba jeno mocno bronić swoich praw. Pilnuję tego stale, starając się, ażeby współżycie z kolegami angielskimi i z ludnością miejscową układało się w dalszym ciągu jak najlepiej.

"NIE SAMYM CHLEBEM . . ." ŻOŁNIERZ ŻYJE

—A strona duchowa życia żołnierskiego? Przecież zima będzie długa i. . . .

—Ma pan rację, pytając o te rzeczy. Bezpośrednio po organizacji obrony odcinków zajmiemy się organizacją życia umysłowego. Liczę na pomoc także i cywilów. Musimy do kraju wyprowadzić zastęp inteligencji, która tam będzie potrzebna bardziej niż kiedykolwiek. Niechże więc ta inteligencja, której tak wielki odsetek jest w wojsku, nie rdzewieje, niech—przeciwnie—rozwija się! Dlatego, poza wyszkoleniem czysto wojskowym i szkołą wojenną, projektuję coś w rodzaju lotnego uniwersytetu, który zatrudni naszych profesorów, docentów i t.p. oraz zatrudni żołnierza w godzinach pozasłużbowych.

—Jestem pewien, że znajdzie się mnóstwo kandydatów, którzy zechcą współpracować przy rozbrajaniu tej czasowej bomby nudy, jaka trapi naszych żołnierzy. Ja sam melduję się posłusznie do roboty!

—Na tęsknotę chwilowo nie poradzimy—kontynuuje generał.*—Ale są niedomagania, o których wiem i na które nie zamykam oczu. Czas rozładował już wiele bomb, wiele zagadnień, które w pierwszej chwili po naszym przyjeździe do Anglii przedstawiały się co najmniej trudno. Niestety, nikt nie chciał rozumieć tego, że czas jest tu wprawdzie pieniądzem, ale toczy się wolno. Na szczęście, Anglicy, jeżeli tylko wezmą się do jakiegoś zadania, rozwiążą je pozytywnie, bez reszty i bez względu na naszą niecierpliwość. Oni tak samo poradzą sobie z tą wojną i z Niemcami. Jeśli zaś idzie o potrzeby naszego wojska, zarówno materialne jak duchowe, one muszą być zaspokojone i zaspokojone będą.*

ARMIA NIEZNANA

—Ale, dlaczego nie pyta pan o najdzielniejszą część armii polskiej?

—Jaką, panie generale?

—Ano, Kraj. Dlaczego nie pyta mnie pan o Kraj? Widzi pan, ja się do tego, co wy literaci czy dziennikarze piszecie, nie mieszam, ale tak mnie złości nieraz gdy czytam o Kraju, że tam się tylko cierpi i cierpi. Nie, panie Zygmuncie. Kraj nie tylko cierpi. Czy pan wie, ile niemieckich dywizyj pilnuje wciąż jeszcze Polski, ile wojska, ile policji, ile wysiłków kosztuje ta praca Niemców? Czy wie pan, jaki bojkot tam się stosuje? Jakie wspaniałe jest stanowisko młodzieży, chłopów, robotników, księży, kobiet? Z tylu krajów podbitych przez Niemcy, żaden—mówię to z całą świadomością—nie stawia najeźdźcy tak wspaniałego podziemnego oporu. Bo Kraj nie uległ, nie padł na kolana, lecz stoi twardy, dumny, bohaterski. Kraj polski, to wspaniała nieznana armia.

DALEKI ZACHÓD I BLISKI WSCHÓD

—A Kanada? Ameryka?

—Rząd angielski docenia wagę tego zagadnienia i napewno otworzy odpowiednie kredyty dla uruchomienia werbunku czy rekrutacji. Obecnie formuję skład poważnej misji wojskowej.

—A nasi żołnierze na Bliskim Wschodzie?

—Wiadomości stamtąd są więcej niż pomyślne.

List żołnierza do Naczelnego Wodza

Do Pana Naczelnego Wodza Armii Polskiej
Pana Generała Władysława Sikorskiego
w Londynie

drogą służbową

Panie Generalę przesyłam i składam zobowiązanie w płaceniu po shellingu dziennie na potrzeby Armii Polskiej.

I za przebyte w Anglii już miesiące lipiec, sierpień, wrzesień i październik wpłacam 120 *sh.*

Ojczyzna w obecnej chwili potrzebuje dużo ofiar od żołnierzy i obywateli Polaków. Jedni oddali już swe życie w obronie Polski. Drudzy cierpią po obozach koncentracyjnych i są gnębieni w Polsce.

Jestem w szczęliwym położeniu, gdzie mogę spłacać dług Ojczyźnie i walczyć o sprawiedliwość.

Z poważaniem
/—/ Senderowski Jan
st. szereg. rez.

Naczelny Wódz podziękował st. szer. Senderowskiemu odręcznym listem.

Nauka z kampanii greckiej

"BLITZKRIEG" I WARTOŚĆ MORALNA

Dotychczasowy przebieg kampanii greckiej z niezwykłą jaskrawością uwypukla znowu zasadniczą prawdę, którą technika "Blitzkriegu" hitlerowskiego nieco przyćmiła. Prawdę, że nawet dzisiaj, w epoce zmechanizowanej wojny, morale żołnierska pozostaje niezmiennie czynnikiem rozstrzygającym.

WYJAŚNIENIA KLĘSKI WŁOSKIEJ

Pan Farinacci tłumaczy porażki włoskie błędami włoskiego sztabu jeneralnego. I podobno niektórzy dowódcy włoscy już sobie życie odebrali. Być może, że istotnie dowództwo włoskie jest gorsze od dowództwa greckiego.

Inni komentatorzy twierdzą, że błąd był w rachunku politycznym. Mussolini liczył na poddanie się Grecji, względnie na szybkie załamanie się obrony, i dlatego nie skoncentrował dostatecznych sił, ani też nie przepracował należycie planu kampanii na wypadek oporu greckiego. I w tym zapewne jest część prawdy.

Wreszcie inni znowu podkreślają decydującą rolę, jaką odegrało lotnictwo angielskie, wartością swą znacznie przewyższające lotnictwo włoskie i przyczyny zwycięstwa greckiego upatrują w tym właśnie. I to prawdopodobnie miało swoją wagę.

Ale to wszystko razem nie tłumaczy jeszcze rozmiarów klęski włoskiej. Prawda, że wojska włoskie w Albanii dorównywały liczebnością wojskom greckim lub nieznacznie je przewyższały. Ale prawdą jest również, że były nieskończenie lepiej wyekwipowane. Prawda, że teren grecki jest trudnym ale nie mniej trudnym jest teren albański, na którym Grecy posuwają się obecnie. Co do lotnictwa zaś, to nie ulega chyba wątpliwości, że faszyści mogą wysłać do Grecji nieskończenie więcej aeroplanów, aniżeli Anglicy.

Wszystkie więc wskazywane przyczyny mogłyby co najwyżej usprawiedliwić niepowodzenie ataku włoskiego na Grecję i przejście do defensywy w Albanii. W żadnym jednak wypadku nie mogłyby usprawiedliwić tej straszliwej klęski, która poniosła armia faszystowska, tej panicznej wprost ucieczki pułków włoskich, ucieczki, która objęła podobno już i świeże posiłki.

PRZYCZYNA PIERWSZA I ZASADNICZA

Historia wojny greckiej krzyczy głośno, że klęska włoska została spowodowana przede wszystkim załamaniem się morale żołnierza włoskiego, któremu obiecywano spacer wojenny, a który spotkał się z przeciwnikiem zdolnym do walki. Można powiedzieć, że w Grecji powtórzyła się historia kampanii francuskiej, gdzie żołnierz, karmiony legendą o linii Maginot, za którą będzie mógł spokojnie siedzieć, jak u pana Boga za piecem, również się załamał.

Jest może przedwczesne z tego załamania się morale włoskiej wyciągać wnioski, że losy kampanii greckiej są już przesądzone na korzyść Grecji. Jest pewna granica cyfrowa, pewna możliwość przewagi liczebnej i materiałowej, której żadna różnica morale wyrównać nie zdoła. Finowie po pierwszych sukcesach, które zapewniła im właśnie przewaga musieli ulec przewadze liczebnej, tak samo jak przewadze dysproporcjonalnej musiała ulec i Polska. Ale wolno mieć nadzieję.

DALSZE PERSPEKTYWY KAMPANII

Jeżeli bowiem czysto cyfrowo stosunek sił grecko-włoskich wykazuje taką właśnie przygniatającą przewagę włoską, jeżeli teoretycznie Włochy mogą rzucić do Grecji i milion i dwa miliony wojska, to jednak praktycznie sprawa przedstawia się nieco inaczej. Wojska włoskie do Albanii mogą się dostać jedynie morzem. Mogą lądować tylko w trzech portach: Santa Quaranta, Valona i Durazzo. Z tych trzech portów Santa Quaranta już nie wchodzi w rachubę, albowiem jest odcięta przez wojska greckie, Valona jest już zagrożona. A i Valona i Durazzo są codziennie bombardowane przez RAF, tak że przesyłanie posiłków nie jest rzeczą prostą. Dodajmy, że i porty włoskie, z których te posiłki by wychodziły Bari, Brindisi i Taranto również są pilnie odwiedzane przez RAF.

Oczywiście, gdyby Hitler przyszedł na pomoc, gdyby wojska niemieckie ruszyły na Grecję z Rumunii czy to przez Jugosławię, czy też przez Rumunię a reszta Bałkanów by się nie ruszyła największe bohaterstwo greckie nie zdołałoby uratować Grecji, wątpliwe jest albowiem, czy Anglia była by w stanie wysłać dość dużą siłę ekspedycyjną.

Ale i to jest wątpliwe. Ministrowie bułgarscy nie pojechali do Berlina, by podpisać akt przyłączenia się do osi, choć wizyta ich była zapowiedziana. Wiadomości z Berlina łączą tę odmowę bułgarską z wizytą Mołotowa. Jakoby ZSSR miało oświadczyć, że wojna grecka nic co prawda Rosji nie obchodzi, ale że w sprawie Morza Czarnego stanowisko pozostało niezmienne w tym sensie, że wszelkie naruszenie równowagi na tym terenie będzie przez Rosję uważane jako akt niezgodny z dobrymi stosunkami rosyjsko-niemieckimi. Jeżeli tak jest istotnie, to znaczyło by, że wejście Niemiec w grę, wprowadziłoby na plac boju i Jugosławię, któraby się broniła przeciw przejściu wojsk niemieckich i Turcję, którąby się już nie obawiała ataku rosyjskiego.

Nie jest więc wykluczone, że Hitler pozwoli Mussoliniemu samemu pić piwo, które nawarzył. Tym bardziej, że niepowodzenie Mussoliniego daje Hitlerowi dużo większą swobodę manewrowania i w Francji, której już by nie potrzeba było krajać dla zadowolenia faszystów i w Hiszpanii, której można by obiecać to, co się obiecywało Mussoliniemu.

Powtarzam, wolno mieć nadzieję, iż kampania grecka będzie punktem zwrotnym, wolno mieć nadzieję, że załamanie morale włoskiego na polach greckich jest początkiem rozkładu Imperium faszystowkiego.

A teraz z kolei należy sobie postawić pytanie, czym się tłumaczy to załamanie się morale włoskiej?

DLACZEGO WŁOSI SIĘ ZAŁAMALI

Potoczna odpowiedź brzmi, że taki już jest charakter włoski, że Włosi zawsze uciekali. Istotnie historia wojskowa Włoch jest mało chlubna. Uciekali Włosi dwa razy z pod Custozzy przed Austriakami, uciekali pod Aduą przed Abisyńczykami, uciekali pod Caporetto przed Niemcami, uciekali pod Guadalajarą przed wojskami republiki hiszpańskiej. A wojnę z Abisynią 1936 roku wygrali jedynie dlatego, że przeciw wojskom uzbrojonym jedynie w karabiny i karabiny maszynowe puścili w ruch całą maszynerię wojny współczesnej i tanki, i bombowce i nawet—o hańbo—gazy trujące.

A jednak nie można oskarżać narodu włoskiego o tchórzliwość. Nie był z tchórzów złożony ten tysiąc Garibaldczyków, który podbił Sycylię. Nie był z narodu tchórzów Francesco Nullo, ani pułki włoskiej brygady międzynarodowej w Hiszpanii.

Armia włoska nie miała morale, bo nigdy nie wiedziała, o co się bije. Jest to prawdą nie tylko dla kampanii abisyńskiej, która skończyła się pod Aduą, jest to prawdą i dla Caporetto, bo trzeba pamiętać, że nastroje we Włoszech roku 15 były takie same jak we Francji roku 1940, to znaczy że wielu Włochów uważało, iż nie ma o co walczyć. A żołnierze z pod Custozzy, to byli żołnierze Piemontu, którzy nie myśleli wówczas o jedności Włoch, a widzieli jedynie wojnę o powiększenie zasięgu wpływów dynastji sabaudzkiej, na czym im nie zależało.

BANKRUCTWO FASZYSTOWSKIEJ HODOWLI CZŁOWIEKA

To, że takie załamanie powtórzyło się i obecnie, że i dzisiaj żołnierz włoski nie chce walczyć—ma jednakowoż znacznie donioślejsze znaczenie. Jest bowiem doświadczalnym stwierdzeniem bankructwa wychowania faszystowskiego. Od osiemnastu lat faszyzm sam jeden i bezapelacyjnie formuje duszę młodego pokolenia włoskiego. Od osiemnastu lat wychowanie włoskie jest nastawione na stworzenie typu żołnierskiego. "*Libro e moschetto-fascista perfetto*" (Książka i karabin — doskonały faszysta) brzmi powiedzenie Mussoliniego, rozplakatowane we wszystkich szkołach i uniwersytetach, powtarzane niezliczone razy przez profesorów w trakcie roku szkolnego. Od osiemnastu lat Włochów przygotowują do wojny, którą się stale apoteozowało. Mussolini pisał: "Wojna jedynie doprowadza energię ludzką do najwyższego napięcia i uszlachetnia narody, które mają odwagę spojrzeć jej w oczy."

I ci właśnie faszyści wychowani w kulcie wojny i dla wojny uciekają haniebnie. Czy nie oznacza to, że wszystkie opowiadania o nowym typie człowieka, który faszyzm miał stworzyć, człowieka, który wszystko poświęci dla swojej idei—były wierutnym bluffem, ordynarną blagą?

ZŁY PROGNOSTYK DLA DYNAMIKI TOTALISTYCZNEJ

I to jest może najbardziej pocieszającym objawem, który uzasadnia największy optymizm. Albowiem wychowanie nacjonalsocjalistyczne było identyczne z wychowaniem faszystowskim. Dotychczas część młodych sfanatyzowanych nazi bije się dobrze bez wątpienia. Ale bije się dobrze tam, gdzie ma przygniatającą przewagę. A już we Francji wojska niemieckie wolały obchodzić pozycje, na których stały pułki polskie, aniżeli bić się z Polakami. A niech przyjdzie pierwsze poważne niepowodzenie, to kto wie, czy psychika żołnierza niemieckiego nie załamie się tak samo jak załamała się psychika żołnierza włoskiego, jak załamała się ongi psychika żołnierza perskiego pod Maratonem.

Armia wolnych ludów Europy zwycięży niewolniczą armię faszyzmów.

Czesław Poznański

Publicysta angielski o wrześniu

Dziś już musimy sobie wyraźnie powiedzieć, że pamięć kampanii wrześniowej nie zaciąży na pozycji Polski w świecie. Po okresie własnych rozżaleń umotywowanych rzeczowo i uzasadnionych boleśnie zadraśniętą dumą, po okresie służalczych złośliwości ze strony dzisiejszych bohaterów najazdu na Grecję, nadszedł czas trzeźwego i sprawiedliwego spojrzenia. Czerwiec poprzez klęskę Francji ułatwił rewizję września, rewizję, która nie zwalnia od odpowiedzialności (błędy generalicji francuskiej nie są usprawiedliwieniem), ale sprowadza ją do racjonalniejszych rozmiarów.

Już w niemieckiej literaturze o wrześniu zaznaczyła się wyraźnie dążność nieukrywania *wartości żołnierza polskiego*. Zdanie: "*tapfer wehrt sich der Pole*" (Polak broni się dzielnie) przewija się poprzez wiele opisów kampanii w Polsce. Nie wynika to bynajmniej z jakiejś niemieckiej rycerskości wobec pokonanego przeciwnika. Rzecz przedstawia się z gruntu inaczej. Przede wszystkim, mimo prób oszukania społeczeństwa niemieckiego przez podanie fałszywych statystyk strat, nie sposób było ukryć przed ludnością Rzeszy przelanej krwi. Nie można również było zakneblować ust żołnierzowi niemieckiemu wracającemu z frontu "*im Osten.*" Nie można było wyjąć mu z oczu błysku przyniesionego z Westerplatte, Kutna i Modlina. Postarano się zatem, aby opisy kampanii wrześniowej częściowo uwzględniły postawę żołnierza polskiego, gdyż inaczej powstałaby wygórowana legenda, wprowadzająca dodatkowy niepokój w niemieckie rozmyślania o przyszłości.

Podobna, choć nie "przymusowa" rewizja poglądów odbywa się wśród naszych sprzymierzeńców.

W kwartalniku "*The Quarterly Review*" prof. Mowat pisze: "należy stwierdzić, że licząc od rozpoczęcia ofensywy niemieckiej pod Sedanem w dniu 10 maja do zawieszenia broni w dniu 17 czerwca, armia francuska stawiała opór przez czas krótszy, niż Polacy w czasie wrześniowego najazdu na ich kraj, i że rząd Trzeciej Republiki poddał się po pięciu tygodniach, podczas gdy rząd polski w ogóle nie poddał się nigdy" (str. 204).

Ostatnio kampanię wrześniową omówił znakomity publicysta angielskiego tygodnika "*Spectator*" ukrywający się pod pseudonimem Strategicus. W trzystastronnicowej książce Strategicusa pt. "Wojna o władzę nad światem," stanowiącej historię obecnej wojny do lipca br. i zaopatrzonej długim, osiemdziesięciostronnicowym wstępem, opis kampanii polskiej zajmuje około dwudziestu stron.

Na usprawiedliwienie Polski Strategicus przytacza następujące fakty:

1) Niemcy zaatakowały Polskę bez wypowiedzenia wojny,

2) Polska z uwagi na życzenie aliantów, którzy do ostatka nakłaniali ją do rokowań, nie przeprowadziła pełnej mobilizacji,

3) terytorium Polski stanowiło w dużej mierze półwysep w terytorium Niemiec,

4) długość granicy polsko-niemieckiej uniemożliwiała stworzenie linii obronnej,

5) armia niemiecka była nie tylko znacznie silniejsza liczebnie, lecz również i przede wszystkim w zakresie uzbrojenia ("wydawało się, że Polacy przygotowali się do wojny z innej jakiejś epoki"),

6) istnienie licznej i rozrzuconej po całym państwie mniejszości niemieckiej pozwalało Niemcom na sformowanie rozległej sieci dywersancko-szpiegowskiej.

Według opinii Strategicusa, naczelne dowództwo polskie naruszyło jedną z najważniejszych zasad wojny, zasadę właściwego użytkowania siły ("*economy of force*"). Tak np. autor zwraca uwagę na to, że lepiej było nie bronić t.zw. "korytarza," który przy danym układzie sił był nie do obrony. Armiom gen. Dęba-Biernackiego (odcinek Łódź-Kielce) i gen. Piskora (odcinek Kielce-Tarnów) nie powierzono wyraźnie określonego zadania. Nie użyto dla ataku na Prusy Wschodnie na początku działań wojennych licznej kawalerii polskiej, jakkolwiek tą drogą można było wprowadzić znaczne zamieszanie w rozwój niemieckiej ofensywy. "Kawaleria—pisze autor—mogła była przynieść pewien pożytek, tymczasem, gdy w pewnym wypadku szarżowała oddział pancerny, brawura jej sięgała nieledwie absurdu."

Ogólnie biorąc, według zdania Strategicusa, naczelne dowództwo nie było przygotowane na stawienie oporu nowej taktyce niemieckiej. Tu autor dorzuca: "pokusa zbyt surowego sądzenia naczelnego dowództwa w związku z tym załamuje się na fakcie, że w kilka miesięcy potem Alianci nie lepiej zabezpieczyli się na tęż samą taktykę, zapłacili zaś za to znacznie ciężej."

Naczelne dowództwo polskie niedostatecznie orientowało się w wartościach strategicznych południowego pasma górskiego: lepszy rozkład i wzmocnienie pozostawionych tam sił (armia gen. Fabrycego) pozwoliłyby na utrzymanie frontu na tym odcinku. Braki w zakresie uzbrojenia również obciążają naczelne dowództwo. Zarzuca Strategicus mu również i to, że nie słuchało rad przyjaźnie usposobionych oficerów alianckich, i że misję aliancką trzymano zdala od wszystkiego.

W ramach opisu działań wojennych Strategicus uwzględnia i podkreśla bądź wszelkie momenty wykazujące odcinkową inicjatywę polską, bądź *odwagę i wartość żołnierza polskiego*. Na pomorzu mimo pozycji strategicznej nie do obrony "Polacy walczyli z najwyższą brawurą i uporem," "zręcznie i odważnie." Trzy odcięte tam dywizje stawiły "heroiczny opór." Zdobywszy Łódź dnia 9 września, Niemcy po dwóch dniach musieli to miasto opuścić pod naciskiem kontrataku polskiego. W bitwie pod Kutnem w niesłychanie trudnych warunkach "Polacy spisali się doskonale." Uwzględnia Strategicus także usztywnienie oporu polskiego z chwilą powołania gen. Sosnkowskiego.

W zakończeniu rozdziału o kampanii polskiej Strategicus pisze: "jest rzeczą istotnie zadziwiającą, że (w tak trudnych warunkach, przyp. tłum.) opór polski trwał tak długo. Tylko prawdziwie heroiczna odwaga wykazująca zaciekłość bardzo rzadko spotykaną gdziekolwiek w ogóle a zupełnie niespodzianą u Polaków, pozwala im twierdzić, że w wielu wypadkach, jak np. w bitwie pod Kutnem, nie zostali pobici; fakty te wzmacniają wniosek, według którego Polacy mogli byli jeszcze przyjść do siebie i utrzymać się przynajmniej poprzez szereg miesięcy, gdyby tylko Rosjanie nie zadali im ciosu w plecy w momencie, kiedy Polacy odzyskiwali panowanie nad sobą.

"Korpus gen. Kleeberga został zlikwidowany dopiero 6 października, a walki partyzanckie toczyły się aż do kwietnia przyszłego roku.

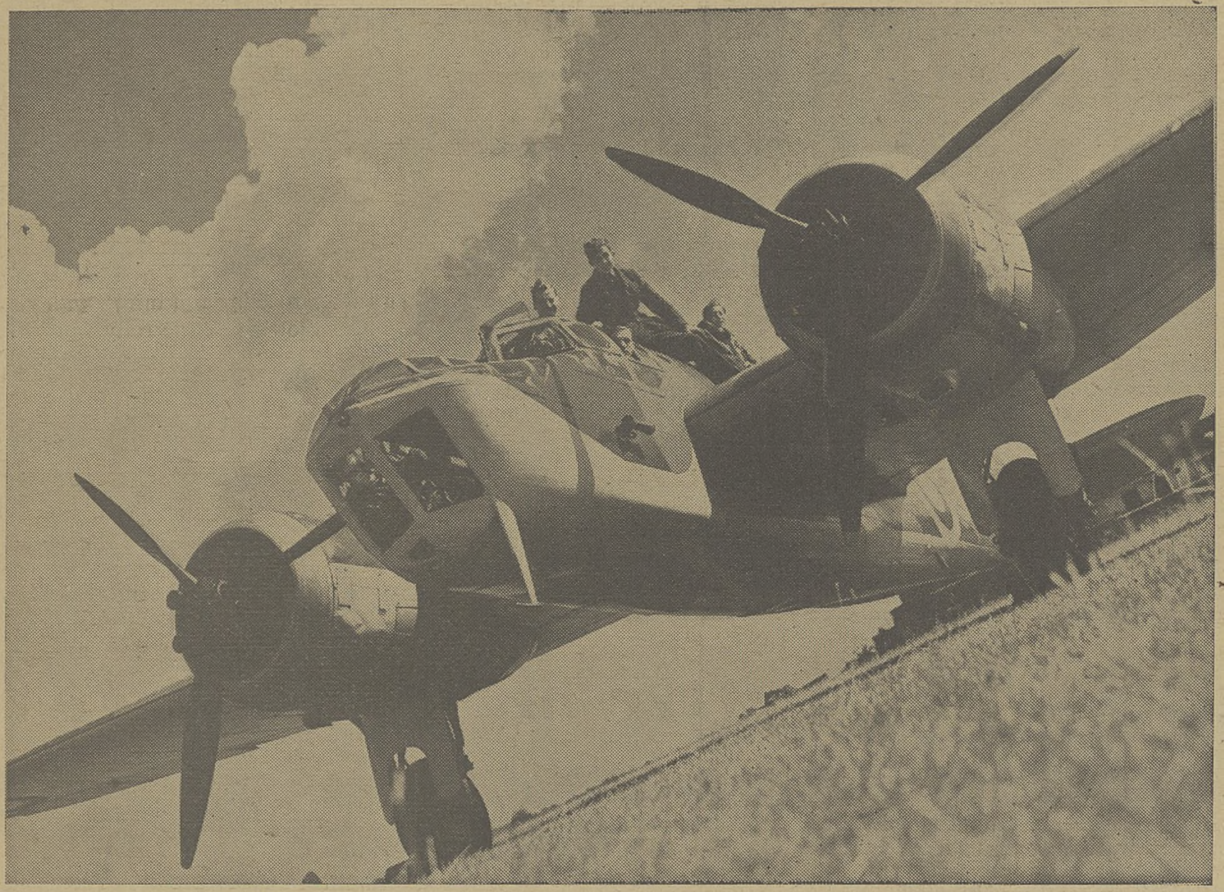
"Wielka część kampanii składała się z pozbawionych wzajemnego związku bezimiennych walk heroicznego żołnierza, nie posiadającego dostatecznego uzbrojenia na przeciwstawienie się najlepiej zaopatrzonej armii świata. Ludzka odwaga jest niczym wobec motoru spalinowego, a jednak w tak niekorzystnych warunkach rysowała się tak dodatnio, że armia francuska, nie doceniwszy wspaniałej brawury, wyciągnęła wnioski taktyczne jak najzgubniejsze dla siebie."

W toku opisu działań wojennych Strategicus, opierając się z pewnością na danych, nie podlegających wątpliwości, zauważa, że "dn. 7 marca 1936, gdy Niemcy zremilitaryzowały Nadrenię, Polacy nakłaniali Francję do wspólnego ruszenia na Niemcy. Wielka Brytania zapytana przez Francję o zdanie, do akcji tej nie przychyliła się" (str. 93). Tę samą wiadomość powtarza autor we wstępie (str. 61). Dziś żałować można, że się tak wówczas nie stało.

Należy dodać, że książka Strategicusa zawiera bardzo trzeźwą ocenę polityki niemieckiej w okresie od 1919 do 1939. Niesłychanie pouczająca jest pod tym względem próba sabotowania wyników plebiscytu w Szlezwigu przez republikański rząd niemiecki.

Stanisław Westfal

Pierwsza wyprawa bombowa



Załoga bombowca przygotowanego do odlotu

Jesteśmy w możności podać czytelnikom oryginalne opowiadanie jednego z lotników, biorących udział w pierwszej polskiej wyprawie bombowej z ziemi angielskiej na Niemcy. Ta wyprawa bombowa na siły wroga ma historyczne znaczenie. Stanowi ona podjęcie przez lotników polskich dalszej walki z znienawidzonym najeźdzcą, pierwszy odwet za skrwawioną ziemię, pierwszą zapłatę za zrujnowane miasta polskie.

"Pierwsza polska wyprawa bombowa po roku bolesnej przerwy, pełnej rozczarowań i gorzkich zawodów. Nareszcie polecimy tam . . . płacić za krzywdy doznane, za krew naszych braci.

Wszystkie dane do lotu obliczone, wszystko przygotowane. Sposób wykonania zadania przemyślany i dokładnie omówiony w załogach. Dowódca Dywizjonu udziela ostatnich wskazówek i mówi nam to, co czujemy wszyscy. Mówi, że teraz leci nas kilkudziesięciu, a w Polsce przeszło trzydzieści milionów cierpi, że na każdy nasz "europlan" przypada około milion tych, co tam znoszą niewolę. Wypada, że załoga każdego samolotu musi Niemcom równy wycisk spuścić . . . w imię właśnie tego miliona.

Nadchodzi czas startu. Maszyny startują w nakazanych odstępach czasu. Wreszcie startuje mój samolot.

Przez pewien czas krążymy nad lotniskiem. Radiotelegrafista nawiązuje łączność. Pilot "nabiera" nakazaną wysokość. Pod nami ziemia otulona mgłą. Nad nami wisi lekki pułap chmur. Błyskają — czerwone światełka lotniskowe.

Przy trzecim okrążeniu radiotelegrafista podnosi kciuk w górę. Przejął angielski zwyczaj i tym sposobem daje znać—łączność nawiązana, można grzać na wroga.

Byłem trochę podniecony tym pierwszym lotem na bombardowanie chciałem, jak każdy z nas, dać Niemcom dobry wycisk.

Przeżegnałem się.

Przez mikrofon podałem pilotowi kurs, następnie udałem się do swej kabiny mierzyć poprawki. W otwartą kabinę wpadał wiatr i chlastał po twarzy, zrywał mi okulary. Usiłowałem jednak zobaczyć choć zarysy ziemi, by sprawdzić znoszenie przez wiatr. Podałem pilotowi małą poprawkę kursu. Przysiadłem się z powrotem do strzelca i wypatrywałem ziemnych świateł kierunkowych.

Noc była zupełna. Rzedły chmury. Niebo rozmigotało się gwiazdami. Wypłynął sierp księżyca. Wybielił rzeczki, jeziora, zaznaczone również wyraźnie na mapie, którą miałem przed sobą.

W locie trzeba stale śledzić trasę, bo wiatr może zmienić kierunek i znieść w bok. Zejście z nakazanej trasy grozi zestrzeleniem przez własną artylerię. Poza tym chodzi o punktualność, także o to by nie marnować czasu.

Podniecenie powoli ustępowało z nas wszystkich. Przez szyby kabiny zajrzał do wnętrza księżyc. Uczyniło się w niej i w ogóle miło i romantycznie.

Po pewnym czasie podałem pilotowi nowy kurs. Przepompowałem benzynę. Sprawdziłem nastawy na celowniku. Założyłem magazynek na swój karabin maszynowy.

Byliśmy nad morzem. Pod nami bezmiar wód wybielony światłem księżyca, gdzieś daleko po prawej stronie, czekają koledzy, no i whisky na oblanie pierwszej naszej wyprawy. Z lewej Morze Północne, tam nienawistne Niemcy, a hen daleko, daleko . . . Polska.

Skurczem bólu ścisnęło mi się serce. Matczyne siwe włosy i oczy dziewczyny zobaczyłem jak żywe. Wydało mi się, że ten milion, co tam w kraju został, teraz na mnie patrzy. Ten milion braci, o którym mówił nasz dowódca. Patrzą na każdy mój ruch, na każdą bombę. . . . Wierzą i czekają, że bomby będą niezawodne.

Lecieliśmy dalej na południe w poświacie księżycowej, niby duchy zemsty. Postanowiłem, że pierwsze bomby będą za Warszawę, reszta za tych naszych chłopaków z piechoty, co od bomb niemieckich pod Kutnem ginęli.

Lecieliśmy jeszcze pewien czas na tym samym kursie. Daleko przed nami włóczyły się po niebie światła nieprzyjacielskich reflektorów. Wreszcie zarysował się wyraźnie brzeg. Wyraźnie widoczny był jakiś pożar, a przy jego świetle zarysy portu. Wypryskiwały z niego wysoko czerwone ogniste punkciki. To strzelała artyleria.

Nagle złość mnie ogarnęła. Włączyłem pokładową radiostację na nadawanie. Chciałem, by Niemcy podchwycili polską mowę, by drżeli i wiedzieli, że my tu nad nimi latamy. Chciałem, by wiedzieli, że czeka ich zemsta za Warszawę, tak bezlitośnie przez nich zniszczoną.

Odbezpieczyłem korbę selektora od bomb. Ostatni raz spojrzałem przez celownik. Pilota, starą polską metodą, poprawiłem—lekko w lewo, zadużo cholera jasna, w prawo, a szybkość i wysokość—krzyknąłem—dddobra.

Pilot trzymał samolot równo, po celowniku wiadukt kolejowy szedł aż miło. Wstrzymałem oddech . . . musi być w celu . . . przecie na szkole ognia jeszcze w kraju trafiałem zawsze.

Wreszcie gdy cel nadszedł na muszkę celowniczą, wyrzuciłem bomby. Oderwały się od samolotu te pierwsze, Warszawie poświęcone, a oczy patrzyły w nienawistny cel. Po kilkunastu sekundach wyprysnęły z ziemi słupy ognia. Dwie bomby grzecznie w celu siedziały, inne były tuż obok. Coś jakby ścisnęło mnie z radości.

Drugi nalot. Tym razem seria bomb poszła po brzegu basenu, gdzie było wielkie zmasowanie barek, przygotowanych do inwazji. Ta serja była za chłopaków z piechoty, co od niemieckich bomb w Polsce ginęli. I ta była celna.

Łapały nas światła reflektorów i goniły pociski artyleryjskie, ale bez skutku. Podałem pilotowi kurs powrotny.

Księżyc był wysoko nad nami. Gwiazdy przyjaźnie nam migały. Wracaliśmy z radością w sercu i z piosenką na ustach, warkotem silnika tłumioną, starą, żołnierską piosenką wojska polskiego, tak miłą . . . —"z Londynu polecim do Berlina."

Nie dziwmy się w tym opowiadaniu niczemu.

Pragnienia lotników polskich, aby żagiew wojny przerzucić na teren wroga spełniły się wreszcie. Rzucają na Niemców bomby skutecznie, sumiennie i co raz to więcej.

Henryk Dobrowolski

Mechanik z "303"

Wrześniową ciszę przerywa przejmujący głos alarmowych syren londyńskich. Nasi myśliwi, gotowi do skoku, czekają.

—Zapuszczać—pada rozkaz dowódcy dywizjonu.

—Zapuszczać! — powtarzają mechanicy przy "Hurricane'ach."

Maszyny zaskakują błyskawicznie jedna po drugiej. Piloci już w kabinach. Mechanicy przymocowują ich pasami silnie, tak silnie, żeby pilota nie rzucało później po kabinie. Musi podczas walki stanowić jedną całość z maszyną.

Mechanicy salutują przy maszynach na znak, że wszystko gotowe. Można startować.

Samoloty szybko wyjeżdżają na kołach, jeden za drugim. Już są na lotnisku. Startują, formując klucze. Nabierają wysokości, okrążają lotnisko, biorą kierunek na południe od Londynu. Znikają w chmurach.

Na dole mechanicy skupili się grupkami i gwarzą, lecz widać z ich twarzy, że dalecy są od tego, o czym mówią, a myśli ich lecą tam, gdzie ich dywizjon,—razem z maszynami i pilotami.

Siedemdziesiąt minut minęło od czasu, gdy dywizjon startował, więc już pora, żeby pierwsze samoloty wracały. Wszyscy na ziemi wiedzą, że jeżeli wróci w szyku cały dywizjon, znaczy to, że nic nie zdarzyło się w powietrzu. Natomiast po spotkaniu się z nieprzyjacielem maszyny zawsze wracają w pojedynkę.

—Cicho! . . .

Ledwie dosłyszalne brzęczenie w powietrzu. Odgłos szybko rośnie i potężnieje. Na horyzoncie ukazuje się "Hurricane," zbliża się, z piekielną szybkością przelatuje nad głowami stojących. Lecz jeszcze nie ląduje, powoli wraca górę. Beczka. Potem dopiero samolot nurkuje, wyrównuje się, wypuszcza podwozie, otwiera klapy do lądowania. Ląduje.

Już wracają następne maszyny i wszystkie tak samo śmigają nad głowami mechaników na maksymalnej szybkości i okrążają lotnisko, zanim wylądują.

Między mechanikami radość wielka. Wiedzą, że, według ustalonego zwyczaju, śmigania te oznaczają sukces w powietrzu: zestrzelenie wroga. Poszczególni mechanicy podbiegają do swych maszyn, czepiają się skrzydeł i krzyczą do pilotów:

—Ile?

Piloci pokazują wyniki na palcach. Radość w całej rodzinie lotniczej ogólna i pełna.

Maszyny powyłączane. Pytania i odpowiedzi krzyżują się między pilotami i mechanikami. Mieszają się żółte kamizelki pilotów i szarę kombinezony obsługi. Każdy ma coś do powiedzenia.

Adiutant dywizjonu, przez wszystkich zwany "tatą" dla swej serdecznej dbałości, chodzi jak zwykle w swej kurtce skórzanej, wpisuje do notesu zwycięstwa, udziela pochwał; ten zaś, którego maszyna postrzelona, dostaje nagany i upomnienia.

—A mówiłem, żebyś tak blisko się nie pchał! . . . —łaje "tata."

Natychmiast przygotowuje się maszyny do następnego lotu, uzupełnia paliwo i amunicję, wkłada nowe butle tlenowe.

Lecz niestety wszyscy jeszcze nie powrócili. Walka była z kilkakrotną przewagą przeciwnika, który naleciał Anglię całą masą swych maszyn myśliwskich typu Me.109.

"Tata" co chwila chodzi do telefonu i pyta się, czy nie ma wiadomości o pozostałych. Mijają długie chwile niepokoju. Piloci i mechanicy chodzą poważni. Dowódca dywizjonu również jeszcze nie wrócił, i żaden z obecnych pilotów nie może udzielić wyjaśnień. Dywizjon natychmiast po ataku na nieprzyjacielskie bombowce i ich rozbiciu stoczył cały szereg pojedynków z niemieckimi myśliwcami nad rozległą połacią południowej Anglii, tracąc się wzajemnie z oczu.

Wreszcie, po kilku godzinach, wiadomość telefoniczna, że zestrzelani piloci skakali na spadochronach a dowódca dyonu leży ranny w szpitalu.

—Chwała Bogu!—mówi z ulgą obok stojący mechanik.

Brakujące maszyny uzupełnia się nowymi, a piloci rezerwowi, przywołani z kwater, zastępują tamtych.

Dywizjon, zaczajony, zamaskowany, znowu czeka gotowy do skoku. Dowództwo objął jeden z dowódców eskadr, poprzedni zastępca dowódcy dyonu.

Obsługa krząta się koło maszyn, piloci czekają ubrani całkowicie do lotu.

* * *

Mechanicy! Przeszli oni daleką drogę z Polski do tego miejsca, żeby od nowa się zorganizować i bić. Wiedzą, czym są dla dywizjonu, szmat czasu spędzili w jego zespole, niektórzy z nich mogą nawet poszczycić się współpracą z tą eskadrą już podczas wojny polsko-bolszewickiej. Razem z pilotami byli na wozie i pod wozem, ich morale jest nadal wysokie. Ich zapał do pracy zaraża i podnieca pilotów. Pilot, wracający z walki, uświadamia sobie, że na niego czekają nie tylko ręce mechanika, lecz i jego serce. Pilot, wsiadając do maszyny, wie, że jest jej pewny.

Dzień mglisty i deszczowy. Dywizjon czeka, wszystko gotowe do startu.

Nagle słychać jeden wybuch bombowy, drugi, trzeci. . . .

—Do maszyn! . . .

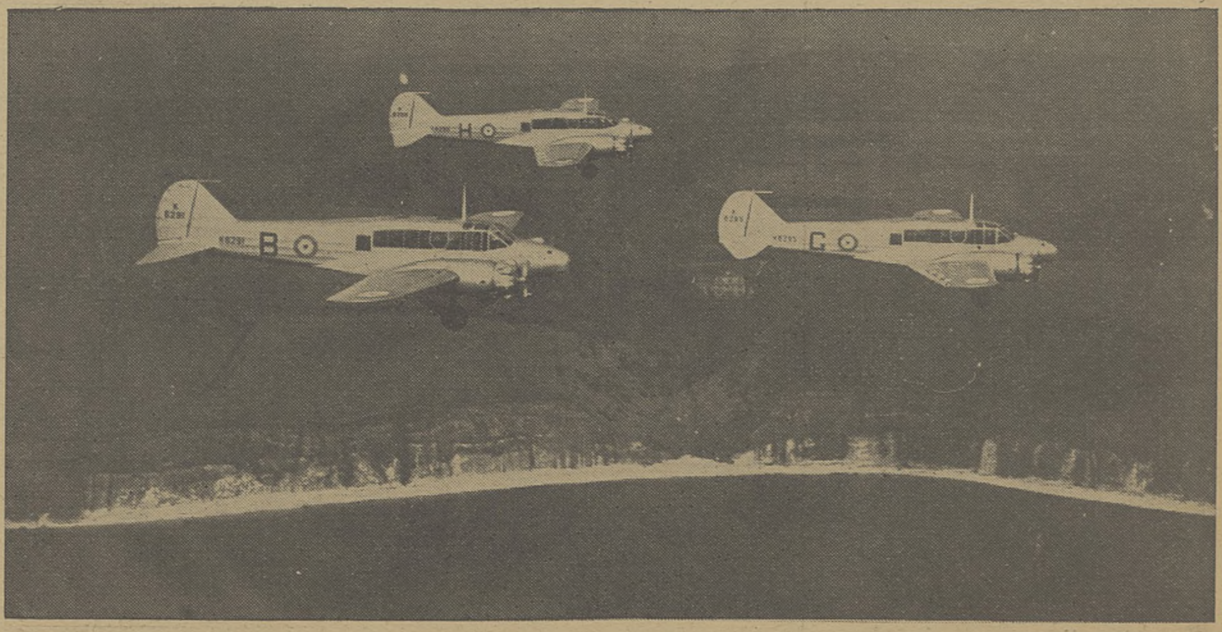
Rozlega się gruchot karabinów maszynowych z powietrza: to nagły, niespodziany, zuchwały atak nieprzyjacielskich maszyn na lotnisko "303."

Piloci już w kabinach samolotów, mechanicy przy maszynach, maszyny "zaskakują." Myśliwcy jak psy gończe pędzą w powietrze. Pościg, walka. . . .

Lecz na dole, na lotnisku, mechanicy otaczają jednego ze swoich kolegów, leżącego bezwładnie na ziemi. Spełniał obowiązek do ostatka, wśród gradu kul wypuścił do lotu maszynę, oddaną jego pieczy. Maszyna szczęśliwie wystartowała, natomiast jego życie się zakończyło. Ciężko raniony pociskiem wroga, mechanik kona kilka dni później, pomimo ofiarnych zabiegów lekarza dywizjonowego i pomimo opieki szpitalnej. Zanim opuści na zawsze grono kolegów, Krzyż Walecznych ozdobi jego pierś, wplatając nowy liść wawrzynu do chwały Dywizjonu Warszawskiego imienia Tadeusza Kościuszki.

Śpi w ziemi brytyjskiej polski mechanik, starszy szereg. R., któremu śniła się ojczyzna. Dziś tylko starszy szereg. R., lecz później, gdy opadną kajdany, nazwisko jego zabrzmi głośno w odrodzonej ojczyźnie, jako symbol bohaterstwa ludzi cichych i skromnych, a tak zasłużonych naszemu lotnictwu.

Pilot dywizjonu W.U.



Bombowce "Anson" nad brzega mi Anglii

DWIE WYSPY

Ktokolwiek by o tym zapomniał, że Anglia jest wyspą, zbudziwszy się w nocy na wsi angielskiej, zaraz sobie przypomni. Wicher nalatuje tu na domy z taką regularnością, z takim dalekonośnym rozpędem, jak to umieją tylko morskie wiatry, nawykłe do rytmicznego pędzenia fal w nieskończoność. Ośmieszone przez komediopisarzy wytrwałe komunikowanie sobie—przez znajomych i nieznajomych Anglików—uwag na temat ślicznego poranka, czy brzydkiego wieczoru—nie jest bezduszną formułą; to wyraz najżywotniejszych interesów, to głos wyspiarskiej historii.

Anglia oznacza niewielką bryłę ziemi, której klimat ma zmienność oceanu, której perspektywy przesłonięte są mgłami, którą od wieków szturmują żywioły.

W tych szturmach żywioł ludzki brał dotąd udział stosunkowo niewielki. Z najgłębszego matecznika historii wyłaniały się zrazu plemiona za plemionami, korsarze za korsarzami, którym nie dawał spokoju sen o zamorskim kraju. W pradziejach i we wczesnym średniowieczu napastnicy, jeśli udawało im się sforsować morze oraz opór mieszkańców, osadzali się na wyspie, jak ławice muszli osadzają się na brzegu; wsiąkali w nią, użyźniali swoją krwią i swoim mózgiem.

Od XI-go wieku wszakże, od czasów Wilhelma Zdobywcy, inne najazdy—poza przypływami—nie zakłócały już życia Anglii. Krzepnąc wewnętrznie, doskonaląc gospodarkę i obronę, wyspa—nie przestawszy być pokusą wielkich drapieżców wszystkich epok—przestawała zwolna być obleganą fortecą, zmieniła się raczej na bazę działań wypadowych prężnego narodu. Ta sama burzliwa woda, która tak skutecznie odgradza Anglików od pożądliwości kontynentu, ujarzmiona przez lud wyspiarski, ulegle służy mu za szlak ku skarbom świata.

Surowy los wyspy Wielka Brytania potrafiła uczynić losem szczęśliwym.

Jeden z wielkich drapieżców naszej epoki, Adolf Hitler, wyciągnął naukę z klęsk swoich poprzedników w zakusach na Wielką Brytanię. Naukę następującą: Żywioł wodny poddał się Anglikom. Ich słucha, wrogom Anglii nie sprzyja. Żeby wyspie odebrać władanie nad morzami, należy inny żywioł obrócić przeciwko niej: powietrze.

Ogromna flota powietrzna Niemiec, to rezultat bezsennych nocy Hitlera, trawionych na dociekaniu tajemnicy losów Wielkiej Brytanii. Hitler, uczeń czarnoksięski, wielbiciel kosmicznych bóstw Walhalli, postanowił przeciwko pogromczyni wód wystąpić jako ujarzmiciel powietrza. Zapragnął z walki o rządy nad światem uczynić walkę żywiołów.

W trzynastym tygodniu bitwy lotniczej o Londyn możemy już powiedzieć, że uczeń czarnoksięski się pomylił. Źle odgadł tajemnicę Wielkiej Brytanii. Żywiołem, który ona ujarzmiła, nie były oceany—to była jej własna natura. Ścierając się dzień po dniu, w ciągu żmudnych wieków, z falą i z wichrem—Anglicy nieustępliwie ścierali się z własnym lenistwem, z własną gwałtownością. Otoczeni czynnym bezmiarem, uczyli się cenić sekundy. Otoczeni bezmiarem obcości, zrozumieli potrzebę solidarnych działań. Naginając ciało do heroicznych praw żeglugi, kształcili duszę—stawali się panami samych siebie. A obcując z Bogiem w ostatecznej samotności na morzu, poznali wagę rzeczy wielkich i rzeczy małych. Poznali też siłę wolnej ludzkiej woli.

I oto powietrze okazuje im teraz uległość nie mniejszą od tej, jaką okazały morza. Ciągle jeszcze mniej liczne od niemieckiego, lotnictwo żeglarzy od trzynastu tygodni bije na głowę awiację czarnoksiężnika.

Tak z Anglią.

A z Polską?

Polska także jest wyspą. . . .

Ktokolwiek budził się w nocy na polskiej wsi,—często tak o Polsce myślał.

Wiatry, które w dom polski biją, które wchłania noc listopadowa, noc styczniowa, którym opiera się każda noc narodowa Polaków—te wiatry prowadzą za sobą dwa przypływy: jeden ze Wschodu, drugi z Zachodu; dwa wrogie morza — rosyjskie i niemieckie.

Polska, jak wyspa, leży między tymi morzami.

Żywioł, który szturmuje Polskę, jest wyłącznie ludzki. Jednak nasze perspektywy także zasnute są mgłami, a nasz klimat historyczny bardziej od angielskiego jest zmienny i burzliwy. Z ludzką gwałtownością trudniej walczyć, niż z wrogością przyrody.

Plemiona, które z dwuch mateczników historii—germańskiej i słowiańskiej—wyłaniały się na podbój polskich równin, przychodziły z razu, jak fale przypływu, zostawiały osad i odchodziły, regulowane pierwotnym instynktem. W miarę jednak jak komplikowały się dzieje świata, jak rosły ambicje i potrzeby narodów—przypływy do Polski ze wschodu i z zachodu stawały się głębsze, odpływy co raz bardziej niszczące.

Ocean przez wieki trzyma w napięciu nerwy i wyobraźnię Anglików; hartuje mięśnie; budzi ducha. Teatr zmagań człowieka z żywiołem nieludzkim ma atmosferę zdrową.

Wrogość sąsiadów natomiast od wieków truje atmosferę w Polsce. Nawet w okresach—niedługich—całkowitego pokoju Polacy nigdy w swoim kraju, otoczonym nieprzyjaciółmi, nie mogli tak się czuć u siebie, jak się czuli Anglicy, oblani napastliwym morzem. Szpieg, ajent ościennego mocarstwa, rusofil, germanofil, zdrajca—przy każdym niemal stole spotkać mogłeś truciciela.

Anglicy—skoro, opanowawszy własne namiętności, stali się panami namiętnych wód—te wody posłusznie niosły ich ku nowemu światu.

Ocean ludzkiej zawiści, który Polskę otacza, jest nie do przebrnięcia. Ileż systemów, ile rewolucji przetoczyło się przez dzieje naszych sąsiadów i panowie tych ziem—cesarze, czy socjalnarodowi Fuehrerzy, carowie, czy dyktatorzy sowieckich republik—zawsze napierają na polskie granice w niezmiennym imperialistycznym celu.

W odmętach trującego żywiołu, zaciśniętego wkoło Polski, jedna jest tylko luka, jedno odetchnienie: Bałtyk. Okno na *zdrowy* żywioł. Droga w świat.

Wojna o pełne, trwałe istnienie Polski i wojna o nowy ład w świecie nie mogła się zacząć od innego miasta, niż Gdańsk. Pierwsza krew, wylana za wyzwolenie polskiej wyspy z morza sąsiedzkiej napastliwości, nie mogła w inny grunt wsiąknąć, niż cypel Westerplatte.

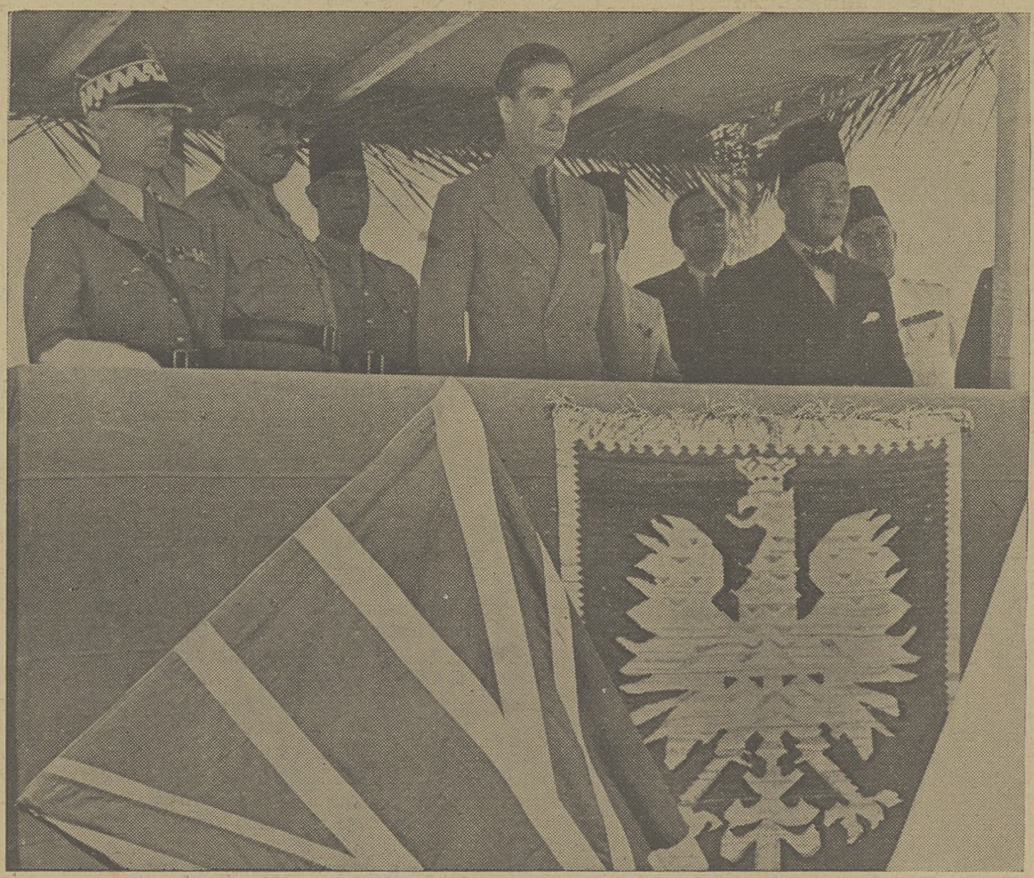
Nie jest sprawą przypadku, że w tej wojnie wielka wyspa zwycięska Anglia, stanęła—ze swoją flotą i ze swoją miłością swobód—w jednym szeregu z Polską, wyspą niezdobytą.

Zwycięstwo musi być nasze—angielskie i polskie. Szczęśliwy naród wyspiarzy, któremu los udzielił długich epok pokoju, by mógł w walce z oceanami zwyciężyć siebie—dorósł do międzynarodowej misji: do wojny z najgorszym wrogiem ludzkości, z żywiołem złego sąsiedztwa.

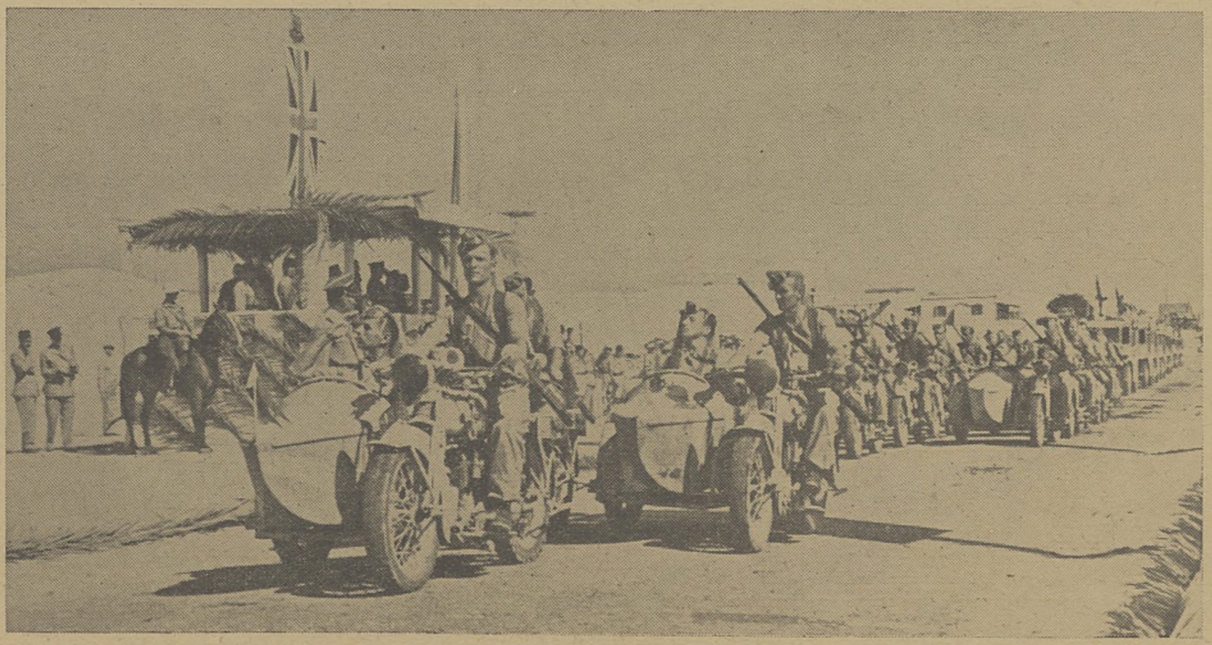
Czy Polska warta jest zadośćuczynień w tej nowej wojnie światów—świadczą dziś polscy lotnicy, polscy marynarze, polska piechota, przeprawiająca się przez morza w pogoni za śmiercią żołnierską; a nade wszystko świadczą ci Polacy, zatopieni przez wrogie żywioły, którzy trwają w niepodległości—wyspa podwodna, nigdy niezdobyta.

Maria Kuncewiczowa

Min. Eden w Brygadzie Karpackiej







W czasie niedawnej wizyty na Bliskim Wschodzie min. Anthony Eden, jedna z wybitniejszych osobistości gabinetu Churchilla—odwiedził również Brygadę Karpacką, zajmującą odcinek frontu afrykańskiego. Defiladzie oddziałów polskich prócz Edena przyglądali się oficerowie egipscy, angielscy i australijscy. Wspaniała postawa żołnierzy wszystkich broni wzbudziła entuzjazm obecnych.

Z cyklu:

Nieznani sprzymierzeńcy*

III. Szlachetny kwiat Gruzji

Jeszcze 12-go stycznia tego roku w ogrodzie moim w Teheranie kwitły róże. Niebo śmiało się pełnią błękitnego uśmiechu, a słońce tak prażyło, że mowy być nie mogło o wkładaniu płaszcza; właściwie zaś nawet sweter był zbędny.

Komunikacja była tej zimy łatwiejsza, niż zwykle i cała trudność połączenia Teheranu z północnymi częściami Persji polegała jedynie na przebyciu łańcucha gór *Elbursu*, wznoszącego się przeciętnie na wysokość 4.000 m.—szczyt Demawend ma 5640 m.—ponad poziom morza. Toteż nierzadko przybywali do Teheranu mieszkańcy przygranicznych połaci, położonych niejednokrotnie tuż nad Araksem, dzielącym Persję od Związku Radzieckiego. Byli to różni ludzie. Jedni do stolicy jechali po zakupy, inni dla załatwienia najrozmaitszych spraw w stołecznych urzędach i instytucjach. Byli jednak i tacy, których gnała do Teheranu chęć zasięgnięcia języka.

Zupełnie bowiem różne po obu stronach granicy działy się rzeczy i zupełnie różne panowały stosunki. Teheran stał w różach i słońcu, gdy na Zakaukaziu i na Kaukazie szalały mrozy tak silne, że ludność miejscowa twierdziła, iż od dziesiątków lat nie pamięta podobnych. Śniegi stały tak głębokie, że komunikacja natrafiała na przeszkody na każdym niemal kroku. I mimo planowej polityki sowieckiej i przewidywania przez nią najróżniejszych drobiazgów, trudności komunikacyjne nie dbały wcale o "władzę" w postaci patroli konnych G.P.U. i można by było zanotować niejeden wypadek "sabotażu," polegającego na takim piętrzeniu się śniegu na szosach, że nikt nimi przejechać nie mógł, a już w żaden sposób limuzyny dygnitarzy sowieckich.

Toteż nieco głębiej odetchnęły ludy Kaukazu. Pełni temperamentu Gruzini, wierni towarzysze Polaków, schodzili się co wieczór w podziemnych winiarniach Tyflisu i wiedli długie rozmowy, zakrapiane winem kachetyńskim. Aż wreszcie bomba wybuchła w byłym klubie oficerskim w Tyflisie i krzyk się podniósł na całą Gruzję—krzyk, którego nie uśmierzyły liczne aresztowania.

Wówczas to właśnie zjawili się w Teheranie ludzie, pytając co robić? Bo może już wreszcie nadchodziła godzina wyzwolenia Gruzji z jarzma czerwonego Gruzina?

Cóż z tego, że broni nie było? Cóż z tego, że nieprzyjaciel był silniejszy, pomimo wysłania wojsk kaukazkich na front fiński?

Gruzja—to Polska Kaukazu, gotowa iść na pewną śmierć, aby utrzymać honor!

Mimo to jednak trudno było zadecydować, czy powstanie ma wybuchnąć natychmiast, czy też należy odczekać czas jakiś,—zobaczyć jak się rozwija powstanie aserbejdżańskie, aby dopiero potem wzniecić żagiew buntu. I jasną jest rzeczą, że decyzje nie mogły zapaść bez uprzedniego porozumienia się z Sojusznikami, bez których pomocy Gruzja nie byłaby w stanie utrzymać własnej niepodległości. Bo trzy kraje kaukazkie, pragnące w przyszłości stworzyć federację kaukazką, złożoną z Gruzji, Północnego Kaukazu i Aserbejdżanu, miały umowę polityczną tylko z Polską, która oficjalnie uznała komitety tych narodów, znajdujące się od dawna na emigracji. A Polska nie mogła udzielić żadnej pomocy.

I rozpoczęły się niekończące się rozmowy, których celem było ustalenie stanowiska Francji wobec ludów kaukazkich. Dlatego piszę tylko o Francji, a nie o Francji i Anglii, że rozmowy były prowadzone przez Francuzów, którzy usiłowali—przynajmniej w Teheranie—wyzyskać znajomość terenu Gruzji przez Gruzinów, odwlekając w nieskończoność sprecyzowanie stanowiska Francji wobec gruzińskiego ruchu niepodległościowego.

Wszystko to jest jednak w rozważaniach naszych nieważne. Dla nas ważne jest to, że zgłosił się jeszcze jeden sprzymierzeniec—Gruzja, jak zawsze niezawodna. A czy zdecydowano tego sprzymierzeńca wykorzystać, czy też nie—wykaże kiedyś historia obecnej wojny.

W Teheranie zaś przez zimę "ruch" Gruzinów był całkiem pokaźny. Przyjeżdżali z różnych stron, konferowali i przeważnie wracali niezadowoleni. Bo ostatnie lata były dla Gruzji ciężką próbą. Wszystkie oświadczenia Hitlera, skierowane przeciw Sowietom przyjmowane były w całej Gruzji jak balsam, najdoskonalej kojący głębokie rany narodu. I wierzyli oni—na prawdę wierzyli, iż Adolf Hitler dźwignie sztandar wolności na dumnym szczycie Kazbeku. Stąd myśl polityczna rozbiła się, kierujac się w dwa odrębne łożyska, z których to, które źródło swe miało w Berlinie, stale przybierało na sile.

Aż przyszedł krach! I runął twór, budowany kunsztownie przez niemiecką propagandę. Pakt niemiecko-sowiecki podważył zaufanie, które obróciło się w gruzy w dniu 1-ym września 1939.

—Atak na Polskę jest atakiem na Gruzję—oświadczali.

I trzeba przyznać, że żaden z Gruzinów nie zawiódł przyjaźni polsko-gruzińskiej w chwilach najcięższych. Ona trwa i nadal będzie trwała, oparta o poczucie spójni znacznie silniejszej i znacznie starszej, niż nam się zwykle wydaje.

Z tej właśnie spójni wynikło wyraźnie znalezienie własnego miejsca w układzie sił politycznych. I z tej spójni wynikło usiłowanie, aby rozszerzyć układ, wiążący aktem prawnym Gruzję z Polską—na państwa z Polską sprzymierzone.

I kiedy w Teheranie spadł śnieg, dziwacznie przybierając bielą krzaki, na których kwitły wspaniałe róże, w zaśnieżonej Osetji i Kachetji śnieg czerwienił się plamami krwi, bo i wtedy, gdy młódź gruzińska spotykała się oko w oko z patrolami G.P.U. i wtedy, gdy patrol napotykał na swej drodze nieuzbrojonego Gruzina.

Były to próby, mające na celu przyśpieszenie wybuchu, w który cały kraj wierzył i którego pragnął. Wybuch ten nie nastąpił z rozmaitych przyczyn, które nie czas dzisiaj wyjaśniać.

Nastąpiło zaś coś innego—coś bardzo ważnego. Gruzja zamanifestowała swoją wolę i określiła własne miejsce w toczącej się wojnie, stając zgodnie z tradycją tego kraju po stronie wolności i samostanowienia narodów.

I ten manifest musimy zapamiętać, gdyż jest szlachetnym odruchem sprzymierzeńca—tym szlachetniejszym, że pisany był czerwonym kwiatem na nieskalanej bieli głębokich, kaukaskich śniegów.

* Por. dwa pierwsze artykuły tego cyklu: "I. Styczniowy strajk w Baku," "II. Aserbejdżan chwyta za broń," drukowane w 29-ym numerze "Polski Walczącej."

IV. Pogotowie północnego Kaukazu

Tak się złożyło, że nieraz niezbyt dobrze znamy geografię, a nastawieni na Europę, nie interesujemy się rozmaitymi szczegółami geograficznymi, których znajomość jest zasadniczo niezbędna, zwłaszcza zaś w czasie wojny. Do takich nieznanych terenów należy Północny Kaukaz, o którym wiemy najwyżej to, że był niepodległy po poprzedniej wojnie światowej. Potem niepodległość jego padła pod naciskiem czerwonych hord.

A ciekawy i piękny ten kraj powinniśmy znać nieco lepiej, tu bowiem jeszcze w zamierzchłej starożytności istniało bogate i wielkie państwo, znane starożytnym Grekom, którzy chętnie chcieli wywodzić własne pochodzenie od ludów Sarmacji Azjatyckiej. Starożytny Rzym znał również ten wspaniały zbiegający z północnych stoków łańcucha Kaukazu ku Uralowi kraj, ciągnący się od morza Aralskiego przez dzisiejsze stepy kirgizkie, przez Kazachstan. Na zachodzie granicą Alanów były prześliczne wybrzeża Czarnomorskie, a na północy granica gubiła się na równinach Rosji Środkowej. Dopiero pochód Hunnów w V-ym wieku po Chrystusie zachwiał krajami Północnego Kaukazu, i chociaż państwo Alanów było i potem niezależne, toczyć się już zaczęło ku upadkowi, który postępował nieuchronnie po wyzwoleniu się Rosji z jarzma tatarskiego.

Kto zawładnie Północnym Kaukazem—ten rządzi wszystkimi krajami Kaukazu —mawiają znawcy strategii. A nawet i my—choć nie należymy do znawców trudnej sztuki wojennej — potwierdzić musimy prawdę tych słów, opierając się na kiku historycznych przykładach z ostatnich lat. Oto Niemcy idąc na Kaukaz, natknęli się na trudności jedynie w krajach Północnego Kaukazu, tak samo było i z "białym ruchem" rosyjskiej kontrrewolucji. Wyszedł on również z Północnego Kaukazu i, opanowując cały kraj, stworzył sobie bardzo poważne zaplecze, dostatecznie bogate, by mogło się stać elementem, podnoszącym siłę walczącej armii. I kiedy "biali" ponieśli klęskę—znowu widzimy mozolne zdobywanie Północnego Kaukazu przez "czerwonych," którzy potem względnie łatwo rozprawili się z Gruzją, Aserbejdżanem i Armenią.

I dzisiaj tak samo, jak przed laty, władanie Północnym Kaukazem daje możność wyzyskiwania skarbów nafty w Baku i utrzymywanie w ręku wszystkich państw zakaukazkich. Ze względu na swoje kluczowe położenie, Północny Kaukaz odgrywa i dzisiaj rolę zasadniczą w życiu licznych narodów kaukaskich. Tu—ku duszy górali—sięgnęła ręka komunistycznej propagandy, tu—w górny świat Prometeusza—wdarła się prowokacja, powodując, dość poważne wyrwy w spoistości wewnętrznej kaukaskich górali. I teraz—jako najbardziej eksponowani—muszą oni walczyć nietylko z czerwoną, ale i z białą prowokacją rosyjską, uważając imperializm zarówno Stalina, jak i carów za śmiertelnego wroga.

Dlatego też każde podejście do nacjonalistów Północnego Kaukazu jest trudniejsze, więcej bowiem o kraj ten zabiega wróg, niż o inne kaukaskie połacie i trudniej jest przedstawicielom ruchu niepodległościowego działać. Uświadomienie narodowe tak już wielkie poczyniło tam postępy, że lud zapytuje swoich przywódców o warunki umów międzynarodowych i np. życząc zwycięstwa Sprzymierzonym, kategorycznie odmawia współpracy i dorywczego współdziałania z kimkolwiek, kto nie sprecyzował stanowiska swego do zagadnienia Północnego Kaukazu, widząc swoją przyszłość w Federacji Kaukazkiej.

Zupełnie inaczej układa się stosunek do Polski. Pełnomocni przedstawiciele terenowi komitetu narodowego Północnego Kaukazu uznali za wskazane jeszcze na początku października 1939r. wysłać w góry do miast i osiedli — emisariuszów, którzy przedstawili ludności, zdanej wyłącznie na tendencyjne wiadomości sowieckie, stosun[illegible] komitetu narodowego do Sprawy Polskiej. Uznając nie tylko Rząd Rzeczypospolitej, ale i potępiając obu napastników na Polskę, Północny Kaukaz rozpoczął pracę przygotowawczą, której celem jest przede wszystkim informowanie terenu o zdarzeniach światowych.

A dla nas znowu powtarza się ta sama ważna sprawa. Jest nią fakt, że można liczyć na ludy Północnego Kaukazu, dojrzałe do wyzwolenia i gotowe w imię sprawiedliwości między narodami porwać za broń w odpowiedniej chwili. Byle tylko nie wracać do błędów zasadniczych, jakie już zdążyli popełnić Francuzi, którzy, prowadząc rozmowy w ciągu czterech miesięcy, nie zdobyli się n[illegible] proste oświadczenie, że uznają za słuszne stworzenie Federacji Kaukaskiej, w której skład wchodzić będzie Północny Kaukaz. Rozmowy te nie doprowadziły do żadnego skutku, a wręcz odwrotnie, zostawiły niesmak wśród wszystkich, przypomniały bowiem czasy niedawne, kiedy Anglia i Francja usiłowały własną rękę położyć na Kaukazie, niedostatecznie świadome przemian dokonanych w ciągu wieku XX-go na północnych zboczach pięknego łańcucha kaukaskiego.

Inaczej zupełnie i o wiele rozsądniej postawiła obecnie s p r a w ę Anglia, uważając wszelkie umowy za przedwczesne. I dlatego, Północny Kaukaz raczej ku Anglii kierował swe sympatie, niż ku Francji, której politykę oceniał jako krótkowzroczną i niezmiernie egoistyczną.

Tak oto pozostała w zawieszeniu sprawa trzeciego naszego sprzymierzeńca z Kaukazu,—w zawieszeniu, gdy chodzi o koalicję, bo, jeśli o Polskę chodzi, Kaukaz Północny zajął stanowisko wyraźne nie tylko nie uznając agresji, lecz uznając w dalszym ciągu trwałość swoich z Polską układów i na Polsce opierając w dalszym ciągu swoje poczynania polityczne.

W chwili, kiedy zawodzić zaczynają przyjaciele, w chwili, kiedy w szeregi sprzymierzone wkrada się—tak, jak we Francji —myśl o osobistej wygodzie, dobrze jest wiedzieć, że front demokracyj nie tylko na Sprzymierzonych się opiera, lecz, że ma gorących zwolenników w licznych narodach, które na dany znak pochwycą za broń, niosąc skrwawionemu światu sprawiedliwy pokój.

Północny Kaukaz zarządził już pogotowie bojowe i o tym trzeba pamiętać, ważąc szale powodzenia wojny.

Janusz Laskowski

Trzy serca

Wróg zabrał mi, jednemu z pionków, wszystko. Ojczyznę, dom, rodzinę. W domu moim mieszkają niemieccy oficerowie, mąż—od miesięcy cierpi w niewoli. Lecz nieprzyjaciel nie potrafił odebrać mi wiary w ludzi. Na przekór szalejącym zbrodniom nienawiści, na przekór furiom zła—odkrywam w ludziach człowieka i uczę się kochać co raz mocniej trzy narody, których obywatele, zamiast wykuwanej od lat nienawiści posiadają po prostu—serce.

Trzy obrazki, trzy skromne fragmenty, trzy kraje.

* * *

Stróżkę w domu, w którym mieszkałam w Warszawie, nazywaliśmy "wiedźmą." Nie można jej było nawet awansować na "dozorczynię." Była tylko starą, brudną babą, w śmierdzących łachach, rezydującą w maleńkiej klitce. Może nawet trochę baliśmy się jej, gdyż "po warsiawsku" była okropnie pyskata. Zawsze miała o coś pretensje, zawsze się o coś kłóciła. "Wiedźma" była formalistką, przyczepiała się o wszystko.

I nadszedł tragiczny wrzesień, który nas zbliżył, połączył i z zawstydzeniem zobaczyliśmy, że "wiedźma" jest lepsza, wiele lepsza od nas. W podwórzu stał oddział wojska z karabinami maszynowymi, z niewielkim taborem.

Nie kuszę się nawet o odtworzenie piekielnej grozy, gdy nieustanny huk spadających bomb burzył domy jedne po drugich, gdy wokół płonęło. Jeszcze dziś po roku—wydaje mi się, że wrzesień był tylko ponurym koszmarem, że nie mógł być rzeczywistością, gdyż był zbyt straszny. A jednak był rzeczywistością. Mieszkaliśmy częściowo na schodach, częściowo w piwnicy. W izbie stróżki gotowało się dla wszystkich mieszkańców raz na dobę. Nie było gazu, wody, elektryczności. Gorącą herbatę liczyło się na łyki, wolno było wypić aż trzy łyki. Siedzieliśmy skurczeni, źli, zrozpaczeni, zdeterminowani.

Stróżka zwielokrotniała się, była wszędzie, pomagała każdemu. Przeprała bieliznę żołnierzowi, zmiotła ulicę, zasłoniła szczelnie dziesięciu papierami okna na schodach, postała w ogonku za chlebem dla lokatorów z pierwszego piętra. Fakty drobne, niby nic nie znaczące—a na ulicy padają trupy.

Stróżka biegnie kilka ulic, aby przynieść wodę w kuble dla zranionego konia, któremu najtroskliwiej opatruje ranę na nodze. Skądciś, nie wiadomo jakim cudem, wydobyła dla swego pacjenta liście kapusty, marchew, uśmiecha się bezzębnymi ustami, głaszcząc zwierzę.

Serce.

* * *

16 czerwca. Stacja w Bordeaux. Tysiące, tysiące uciekinierów. Twarze szare, okrutnie zmęczone. Dzień jest jasny, słoneczny, upalny—a mróz wszystkim ściska serca.

Co chwila wpada na stację pociąg, wypluwając nowe setki żebrackich "refjużerów," lub rannych z pola walki. Nagle wyrzucają nas z jednej poczekalni, opróżniają szybko salę. Nie wiem co się dzieje, gdyż nie wolno wyjść na peron. Po godzinie widzę przed poczekalnią grupki ludzi, przyglądające się z zaciekawieniem tym, co są wewnątrz.

Żołnierz belgijski, który siedzi obok mnie, powiada, że są to ranni jeńcy niemieccy.

—"Niech pani patrzy, mówi z przekąsem, jak każdy z nich przykryty pledem, gdy Francuzi często z amputowaną nogą—nie mają nawet płaszcza."

Patrzę w złe, dumne, mściwe twarze Szwabów, i słyszę głos żołnierza francuskiego:

—"No cóż biedni, to też ludzie, ich także boli."

Serce.

* * *

25 czerwca nieśmiało, niepewnie stawiam pierwsze kroki na ziemi angielskiej, w porcie Liverpool.

Jakże nas ci zimni Anglicy przyjmą? Nas, nieszczęśliwych tułaczy, którzy po dwakroć dach nad głową stracili, po wrześniu—teraz znowu w czerwcu. . . .

W kilka dni później z nie mniejszą tremą, przestępuję próg małego domku, gdzie nam naznaczono kwaterę. Jakże nas przyjmą gospodarze, nas ludzi bez ojczyzny, domu, majątku? Czy dadzą odczuć na każdym kroku, że jesteśmy na łaskawym chlebie. I oto jedno z pierwszych zdań jakie słyszę w małym domku, na przedmieściu Londynu.

—"Niech się pani czuje jak u siebie w domu, ja rozumiem, jak to źle jest być bez domu."

I po kilku tygodniach pobytu—mogę stwierdzić, że słowa te nie były pustym, czczym frazesem. Nasza gospodyni, czarująca Kitty robi wszystko, co w jej mocy, żeby nam było jak najlepiej. Dziękuję ci za to droga pani Kasiu.

Thank you my dear Kitty!

Dziękuję za serce, które pozwala przetrwać, przetrzymać wszystko, nawet—nienawiść.

Monika Stokowska

Z życia obozów

Świeto 11-go listopada

Dnia 11 listopada 1918 roku po przeszło stuletniej niewoli, w czasie której wykreślono i zmarnowano nam wiek dziewiętnasty—Polska znów poczuła się sobą, Polską. Prosty, zwykły, listopadowy dzień, który dobrze pamiętamy z lat przedwojennych, bo był uświetniony defiladą maszerujących pułków, iluminacją wieczorną miast i miasteczek.

Wracamy najczęściej myślą do listopada po zeszłorocznej klęsce. Każdy z nas był świadom ciosu, który Polskę dotknął. Lecz w myślach nikt nie rozpaczał. Szliśmy na zachód. I choć w Kraju w tym, jak i w poprzednim roku uginają się pod ciężarem ucisku, to nam jednak troszkę znośniej. Lepsza świadomość w nas się objawia. W gromadzie wojska polskiego, przy broni, na gościnnej ziemi, w oparciu o sojusznika brytyjskiego. Mimo całorocznych przejść, klęsk, które się widziało i zwątpień, jakie ogarniały—jesteśmy gotowi. Troską, myślą, tęsknotą obróceni ku Tobie, Polsko.

Jedenastolistopadowy dzień, tu u nas, na odcinku, wiara żołnierska obchodziła po żołniersku. Każdego z nas myśli unosiły się, biegły ku Polsce, ku tym, którzy tam zostali, a równocześnie w przeszłość tamtoroczną, jak się w dzień ten przekradało karpackimi graniami: po Wolność. I równocześnie patrzyło się w przyszłość, ku tej Polsce co będzie, najlepszej, najszczęśliwszej. . . .

Więc pobudka jak co dzień. Ale [illegible]a. Pobudka na dzień Święta Niepodległości. Niepodległości, którą nam rozbój zaprzecza. Odmarsz na nabożeństwo po śniadaniu. Jak co niedziela i co święto. Ale to szczególny dzień—Imieniny Ojczyzny. Ojczyzny, na nowo skutej niewolą.

Proste słowa kapelana. A myśl biegnie tam, gdzie za wodami i lądami nasi muszą wbrew wszystkiemu przetrwać do dnia, gdy ponownie a na trwałe już "rozpadnie się w proch i w pył krzyżacka zawierucha."

Po nabożeństwie maszerujemy pod pomnik poległych w tamtej wojnie. Prawda, ten dzień 11 listopada, dzień, kiedy Polska znów została Polską ma na zachodzie inną wymowę. Dzień zawieszenia broni. Ot, zdawało by się ostateczny kres hekatomby ofiar wojny, wywołanej zbrodniczymi ambicjami narodu niemieckiego. Nie ostateczny!

Przedstawiciele sojuszniczej Armii Brytyjskiej składają u stóp pomnika wieniec. Prezentujemy broń. Potem powoli biało-czerwony wieniec składa nasza delegacja imieniem wiernego Honorowi i Ojczyźnie garnizonu stacjonujących Wojsk Polskich.

Prezentujemy broń. Cisza dla uczczenia tych wszystkich, którzy ginęli i giną w walce z wrogiem.

Przemawia do nas pułkownik. "Wołodyjowskim" go zowiemy ze względu na wzrost. Mówi krótko, dobitnie, po żołniersku. Prawi zwięźle o symbolicznym znaczeniu wieńca u podnóża poległych w tamtej wojnie. "Wołodyjowski" to sam żołnierz z tamtej wojny. Wybitny uczestnik kampanii wrześniowej. Dowódca żołnierzy w tej świętej wojnie o wolność. Mówi o braterstwie broni między Armiami sprzymierzonymi. O naszym obowiązku żołnierskim.

W siakim takim karabiniarzu, czy też zwyczajnym piechocińcu tłucze się serce. Doskonale pojmuje słowa "Wołodyjowskiego." Po to bowiem żołnierz szedł "borem—lasem," przez granice, przez kraje, przez rzeki, morza, aby je realizować, owe żołnierskie słowa pułkownikowe.

Przyświadcza temu przejrzyste niebo szafirowe. I aureole słońca, oświecające górne rozłogi. Opadające na orzełki, na lufy, na zamki, na serca, w głębiny myśli żołnierskich.

Występuje oficer tłumacz i w angielskiej mowie oddaje to, co było powiedziane po polsku. Patrzę: słuchają odziane w togi, przepasane złotymi łańcuchami szkockie oficjalności. Opodal, w tłumie widzów stoją dwie smukłe przystojne panny. Coś podejrzanie szklą im się oczy. Wzruszyły się. Płaczą. . . . Może przypomnieli im się ci, co odeszli przed laty dwudziestu? Może nagle przypomniały sobie ojców, braci, narzeczonych będących pod bronią, których los wojenny nieznany? Może płaczą, by tak, na swój sposób pocieszyć tu obecnych swoich polskich "friendów"?

A my stoimy wyprostowani na baczność w karnym, wyrównanym szeregu. Jedną tylko myślą przejęci. By choć raz w życiu z bronią złożoną do strzału przemaszerować przez Rzeszę. Na Boga! Wówczas już nigdy, przenigdy z winy Niemców nie będzie trzeciej wojny światowej.

Wreszcie defilada. Różne defilady bywały tego roku, ta ma inne znaczenie. Nogi przybijają, wzrok patrzy uważnie w prawo. Idzie kompania za kompanią. Raz—dwą, raz—dwa, raz—dwa, raz—dwa. . . .

W godzinach wieczornych koncert dla upamiętnienia dnia, dla sprezentowania Szkotom naszej postawy narodowej w klęsce, cierpieniu, ale i w przeczuciu zwycięstwa.

Po wysłuchaniu Chopina—byliśmy odurzeni i upojeni muzyką, która rewolucjonizuje ducha i każe niezłomnie wierzyć w zwycięstwo. Mili zaś nasi szkoccy gospodarze a goście koncertu wyrażali swe uznanie tak spontanicznym brawem, żeśmy nawet nie wyobrażali sobie, by dobrze nam znany Chopin taki entuzjazm mógł wzniecić wśród obcych.

A Wyspiańskiego bliska czasom obecnym, bliska naszemu położeniu "Modlitwa Konrada"—w interpretacji naszego deklamatora z Bożej łaski, "Zaporowca"—stała się wbrew językowym trudnościom i dla nich jasna, zrozumiała. . . . Tak wielka jest moc polskiej poezji.

I kiedy wszyscy tłumnie opuszczali salę kinoteatru przemieszani ze szkocką publicznością—słyszało się wokoło jedno określenie:

—*Very well*!

Na dworze lał deszcz. Nieprzychylny, jak ta rzeczywistość naszej doli tułaczej. Deszcz niewiadomy. Deszcz, który tak odejdzie, jak przyszedł.

Zapewne za chmurami, wysoko błyszczały gwiazdy. Wśród nich gwiazda Polski, ku której biegły spojrzenia mimo ulewnego deszczu. Mimo chłodu listopadowego wieczoru.

Wawrzyniec Czereśniewski



Polska bandera na wodach angielskich

Marynarze piszą

Okręt . . . c/o G.P.O.
London. dn. 17 listopada
1940 r.

Kochani Koledzy,

dawno już chciałem napisać, by podziękować za nadsyłanie "Polski Walczącej," lecz zawsze trudno jest wybrać chwilkę wolnego czasu, który zazwyczaj pochłania sen, bo sami dobrze wiecie, co to znaczy kilka godzin wypoczynku, gdy się czuwało przez dwie, trzy noce i to samo ma się w perspektywie nazajutrz. Korzystam więc z tego, że dziś wyjątkowo mamy całodzienny postój, by skreślić kilka słów w imieniu własnym i moich marynarzy.

Przede wszystkiem pragnąłbym podkreślić, jak bardzo cenimy "Polskę Walczącą" — jest to wielka radość na okręcie, gdy z pocztą nadchodzi zwój waszego tygodnika. Czytamy go od początku do końca, a często i po raz drugi, gdy podczas kilkudniowego pobytu na morzu, myśląc, że podczas krótkiego postoju w porcie nie przeczytało się wszystkiego, poszukuje się starych numerów "Polski Walczącej."

Rozumiem dobrze, że chcielibyście mieć od nas bardziej szczegółowe wiadomości, niestety trudno nam pisać obszerniej o naszej pracy.

W stosunku do mego okrętu mogę tyle tylko powiedzieć, że jest to okręt obsadzony przez załogę angielską i dowodzony przez oficera polskiego.

Co do wiadomości o naszym życiu, o co prosicie w nr. 36 waszego czasopisma, mogę powiedzieć tylko tyle, że płynie ono bardzo jednostajnie wśród sztormów, min i nieprzyjacielskich samolotów—niestety dotychczas nie mieliśmy celu dla naszych głównych dział, ale wierzymy, że go znajdziemy.

Na zakończenie prośba do Sz. Redakcji—czy nie było by możliwe umieścić w "Polsce Walczącej" wzmianki o moim ś.p. Bracie kapitanie Mamercie Stankiewiczu, w rocznicę Jego śmierci w dniu 26 listopada r.ub. Brat mój był kapitanem m/s "Piłsudski," który został storpedowany przez nieprzyjacielski okręt podwodny na morzu Północnym w dniu 26.XI.39. Chociaż ciężko ranny, pozostał do ostatka na swoim stanowisku i pośmiertnie został odznaczony przez Naczelnego Wodza Orderem Virtuti Militari (drugie z kolei odznaczenie tym Orderem w obecnej wojnie po ś.p. kmdr. ppor. Grudzińskim, d-cy O.R.P. "Orzeł"). Rozkaz o nadaniu tego odznaczenia ukazał się w jednym z pierwszych rozkazów Naczelnego Wodza.

Cześć!

Roman Stankiewicz

Ani Paweł, ani Gaweł . . .

"Ani Paweł, ani Gaweł, ani Onufry ale Mariusz. Jasne?"—takie to utarło się powiedzonko w naszej "bojowej" kompanii—ba, w całym batalionie. Toteż nie sposób, by go pominęło pióro, jeśli już nie dziejopisarza historii naszych Wojsk w Szkocji, to choćby zwykłego felietonisty. Dziwną tę formułkę można by naprawdę porównać do Cezarowego "Alea iacta est" lub jeszcze lepiej do słynnego "powiedzonka" gladiatorów "Morituri te salutant."

Bo też zwrot: "Paweł i Gaweł" ma bardziej wszechstronne zastosowanie w naszym batalione, niż jakiekolwiek inne, niż wszystkie razem zestawienia zapewnień, klątw, besztań i t.d. Poprostu "uniwersalny środek" w naszym słownictwie.

Mówi naprzykład jeden do drugiego:

—"Patrz, leci Hurrican."

—"Nieprawda! — odpowiada —Ani Paweł, ani Gaweł, ani nawet Mariusz, ale Spitfire. Jasne?"

Albo:

—"Kto jest dziś dowódcą patrolu?"

—"Ani Paweł ani Gaweł i nie Mariusz, ale aspirant Z. Jasne?"—brzmi odpowiedź.

Powiedzonko Paweł i Gaweł (nie ci, "co w jednym domku stali") wydłuża niesamowicie prosty i nieskomplikowany język żołnierski, ale trudno: tradycja—podstawą ducha armii! . . . Więc tylko Paweł, Gaweł, Onufry i Mariusz, trzech "ani" i jednego "ale" odpowiednio do okoliczności skracając lub wydłużając formułkę. W każdym razie "musi" pozostać Paweł, Gaweł, Mariusz—no i na zakończenie "Jasne? !"

* * *

Po tak długim wstępie wprowadzającym chciałbym po krótce wspomnieć o początku i rozwoju historycznym powiedzonka. Czas wojny liczy się podobno podwójnie więc stosunkowo niedługi okres czasu dzielący nas od chwili przyjścia na świat powiedzonka — pozwolę sobie określić z "lekką" przesadą zwykłą literatom i dziennikarzom jako "przed wielu, wielu laty."

Otóż—przed wielu, wielu laty (pamiętny to był dzień!) nadeszła uroczysta chwila wzajemnego poznania się nowego dowódcy-kapitana z jego kompanią.

Mżył deszczyk . . . Dwuszreg "wyrównany" "dołączony" i "pokryty" czekał. . . . Jak on też wygląda? jaki on będzie?—szły poszeptem domysły mimo srogiego nakazu szefa: "Nie gadać"!

—"Uwaga, uwaga—nadchodzi!" wrzasnął służbowy i już za chwilę słowa komendy: "Baczność!" "W prawo patrz!"—kapitańskie: "Czołem kompania" i odzew gąb kilkudziesięciu: "Czołem, panie kapitanie."

—"Nazwisko moje—rozpoczął kapitan—musi znać każdy z was. Bo cóż to za żołnierz co nie zna nazwiska swego dowódcy kompanii. Jasne? !"

—"Tak jest!" brzmi chóralna, wojskowo "pod sznurek" odpowiedź. — "Jak słońce" — dodaje któryś z szeregu.

—"A na imię mi—ciągnie dalej kapitan—ani Paweł, ani Gaweł, ani Onufry, ale Mariusz. Jasne?!"—

W tym właśnie momencie czuję, że po szeregu żołnierskich łepetyn idzie porozumienie bez słowa. W tak wspólnym życiu jak w wojsku bywają czasem chwile, gdy sto głów myśli jak jedna—dziwna wspólnota wniosków. "Paweł," "Gaweł," "Mariusz," "Jasne?!"—Przyjęło się! Już słyszę nieomal i grubego "Mecenasa" i "Abissyńczyka" (co sobie brodę assyryjską zapuścił. Dobrzy koledzy zgolili mu piękną ozdobę twarzy, ale przezwisko zostało) i "Inżyniera" i "Bibera," powtarzających sobie w pamięci "nie Paweł, nie Gaweł. . . ."

I rzeczywiście. Od tego czasu poszło!

—"Dostałeś przepustkę?"

—"Ale, gdzieżby! Nie dał!"

—"A dlaczego?"

—"Bo on nie Paweł, ani Gaweł, ale Mariusz, Jasne?!"

—"Tak jest! Jak słońce!"—gromko odpowiada żołnierz, prężąc się przed kolegą w bacznościowej postawie niby przed dowódcą. . . .

—"Pożycz mi pół korony"—prosi któryś.

—"A czy to ja Paweł, czy Gaweł, żebym miał pieniądze na dzień przed wypłatą żołdu? Jasne?!" . . .

—"Jak będziemy w Polsce założymy klub pod nazwą: "Paweł i Gaweł i Onufry i Mariusz"—marzy Mecenas.—"Już mam opracowany projekt statutu. Na honorowego członka oczywiście obierzemy. . . ."

* * *

Mijają długie, mroźne już teraz noce—mijają dni. . . . Kwatery żyją codzienną służbą; raportami, wartą, patrolem. . . .

Wyszedłem w piękną księżycową noc przed bramę koszar. Cisza. . . . Po gwarnym dniu taka cisza, jakby kto uspokoił i ułożył do snu niesforne i rozkrzyczane za dnia dziecko. . . . Anim się spostrzegł, że obok mnie stoi tak samo zadumany jak i ja żołnierz—zasłuchany w delikatny poszum buków pięknej parkowej alei.

—"Wiesz. . . . Myślę, myślę . . . dużo, zbyt dużo. Wydaje mi się czasami, że już dłużej nie wytrzymam! Polska, Francja, teraz tutaj. Dni wyczekiwania,—pracy a bezczynności . . . i takiej tęsknoty, że zwariować można. . . . Ale kiedy ogarnie mnie taki nastrój zaciskam psia krew zęby i mówię sobie. Nie dasz się! Do jasnej i niespodziewanej—przecież ani Paweł, ani Gaweł, ale Polski Żołnierz! Jasne?! . . ."

Bolesław K. Piekarski

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

Po dość długiej przerwie dotarła do nas znowu większa przesyłka gazet ze Stanów Zjednoczonych. Jak poprzednio pisma pełne są informacji o wojsku polskim w Anglii, a szczególnie o lotnictwie. Artykuły o wyczynach lotnictwa polskiego nie schodzą ze szpalt prasy. Można powiedzieć, że Stany i Polacy w Ameryce, znają lepiej naszych lotników /niektórych pilotów nawet po nazwisku/, niż my tu blisko nich! Równie życzliwie omawiana jest armia lądowa. Z okazji odznaczenia trzech generałów przez Wodza Naczelnego, zamieszczono obszerne i pełne szczegółów opisy walk we Francji i Norwegii.

POLACY WALCZĄ W GRECJI

Z pośród tych wiadomości o wojsku, budzi zaciekawienie korespondencja z Aten, którą zamieszcza "Związkowiec," tygodnik, wychodzący w Kanadzie. Podaje on, za pismami kanadyjsko-angielskimi, że lotnicy polscy biorą udział w walkach z Włochami i zestrzelili w ciągu dwu dni dziewięć bombowców oraz że Polacy emigranci wojenni w Grecji zaciągają się masowo do wojsk greckich i biorą już udział w walkach. Pisma greckie podobno pełne są artykułów wysławiających to zachowanie się żołnierzy polskich. Greków zadziwiło, kiedy bezpośrednio po wybuchu wojny poczęli do komend wojskowych i wprost do oddziałów zwracać się żołnierze polscy w mundurach obdartych, ale noszących jeszcze ślady wojskowe. Żołnierze ci w wielu wypadkach odjechali natychmiast na front i podobno zachowują się znakomicie.

PROCENT POLAKÓW ŚRÓD REKRUTÓW W STANACH

"Kurier Codzienny" wychodzący w Bostonie, w artykule "Polscy Patryjoci" zwraca uwagę na kolosalne znaczenie dla sprawy polskiej faktu, że 17% rekrutów armii amerykańskiej jest pochodzenia polskiego. Mimo iż emigracja stanowi tylko 4% ludności. Statystyka ta jest cytowana za prasą amerykańską, oraz za oświadczeniem publicznym Pułk. Cedrica H. Fauntleroy.

LIST OFICERA NIEMIECKIEGO

Kanadyjski "Czas" (Winnipeg) zamieszcza niezwykle interesujący list, jaki miał otrzymać pewien Niemiec w Springfield od brata z Berlina. W liście tym Berlińczyk, oficer niemiecki pisze, że niebezpieczeństwo dla Niemiec stale wzrasta i widmo głodu staje się co raz realniejsze w oczach Niemców.

Natomiast "Dziennik Chicagowski" w depeszy z Berlina podaje, iż rząd niemiecki wydał rozkaz do wojsk, że ktokolwiek z oficerów, czy żołnierzy niemieckich cofnie się w obliczu nieprzyjaciela bez uzasadnionego powodu — zostanie roztrzelany. Kara śmierci czeka również wszystkich nawołujących do buntu w armii. Rozkaz ten "Dziennik" komentuje, za czasopismami amerykańskimi, jako dowód psucia się niemieckiej maszyny wojennej.

PROPAGATORZY SPRAWY POLSKIEJ

Ten sam "Dziennik Chicagoski" zdaje sprawę z bardzo ciekawego przemówienia przez radio, jakie wygłosił ambasador amerykański przy rządzie polskim, Anthony Drexel-Biddle o kampanii wrześniowej w Polsce. Odczyt p. Biddle był utrzymany w tonie niezwykle życzliwym dla Polski, podnosił bohaterstwo jej wojsk i tłomaczył klęskę wielokrotną przewagą techniczną oraz zdradzieckim ciosem, zadanym przez Rosję Sowiecką.

Inne pismo chikagoskie "Dziennik Związkowy," donosi, iż ambasadorowa Biddle objeżdża Amerykę i opowiada o Polsce. Objechała już siedem Stanów, prowadzac kampanię za Rooseveltem, ale przedewszystkim poświęcając swe przemówienia przeżyciom w Polsce i Francji. Jej odczyty o Polsce są nacechowane niezwykłą życzliwością i pomagają zrozumieć Amerykanom stanowisko Polaków, oraz fakt, że Polska uczyniła wszystko, co można i co leżało w ludzkiej mocy, zanim została pokonana. Swoje przemówienia p. Biddle kończy ostrzeżeniem pod adresem Stanów i wezwaniem do przygotowywania się zanim nie będzie za późno.

A TYMCZASEM NIEMCY KŁAMIĄ BEZWSTYDNIE

"Dziennik Chicagoski" podaje ciekawą gaffę, jaką popełnił niedawno "Lord Haw-Haw," prezentując przed mikrofonem pannę Natalię Ragsdale, Amerykankę, która następnie podawała słuchaczom amerykańskim swoje wrażenia z bombardowania przez Anglików szpitala w Berlinie. Przemawiająca była przedstawiona przez Haw-Haw jako córka płk. E. J. Ragsdale z Philadelphii. Między słuchaczami znalazł się jednak znajomy pp. Ragsdale. Zdumiony tym co usłyszał, zatelefonował do pułkownika i dowiedział się, że córka jego przed miesiącem wróciła z Europy. To oszustwo radia niemieckiego napiętnowały amerykańskie dzienniki.

Na innym miejscu to samo pismo zamieszcza wiadomość, iż Biuro Propagandy Kolei Niemieckich w New Yorku, podało do wiadomości, iż w Warszawie otwarto kasyno gry, którego dochód będzie przeznaczony dla Polskiego Czerwonego Krzyża (?). Kasyno "w przeciwieństwie do dawnej niekontrolowanej metody hazardu publicznego, będzie pozostawało pod kontrolą rządu, a dochód z gry w całości zostanie użyty na cele dobroczynne." Cel tej bezczelnej propagandy jest aż nadto widoczny.

Na całe szczęście nie wszyscy im wierzą i nie wszyscy łapią się na ich propagandę, chętnie niekiedy strojącą się w niewinne piórka. Taki pożądany krytycyzm przejawia również "Dziennik Chicagoski," gdy w artykule ostrzegającym opinię amerykańską podaje, iż pisma amerykańskie wydrukowały w całości korespondencję z Warszawy i Krakowa, niejakiego Alina Steinkopfa, według której Niemcy w Polsce zrobili wiele dobrego w zakresie higieny i opieki społecznej. Demaskuje tego korespondenta jako propagandzistę hitlerowskiego stwierdza naiwność niektórych polskich pism w Stanach, które bezkrytycznie powtórzyły korespondencję, dążącą do wykazania, że nazism "niesie z sobą rzekomo zacofanym narodom wyższą kulturę i dobrobyt."

NIEZNANE SZCZEGÓŁY Z POLSKI

"Nowy Świat" nowojorski, zamieszcza wiadomości z Polski.

O nadaniu Gdyni statutu miast niemieckich i o obiorze pierwszych 13 radnych-Niemców. Nadanie uczczone zostało uroczystym obchodem na "ratuszu."

O wznowieniu działalności teatru miejskiego w Warszawie, który będzie grał na przemian sztuki polskie i niemieckie; na przedstawienie inauguracyjne wybrano dramat Hebbla "Agnes Bernauer";

O zmodernizowaniu teatru miejskiego w Bydgoszczy i o rozpoczęciu sezonu operą "Wolny Strzelec."

Wiadomości te ogłasza w New Yorku biuro propagandy Kolei Rzeszy.

EMIGRACJA POLSKA W STANACH ZYSKUJE PRZYJACIÓŁ.

"Dziennik dla Wszystkich" z Buffalo cytuje felieton Doroty Thompson w "New York Herald Tribune," p.t. "Linia obronna w Buffallo." W felietonie tym znalazł się opis fabryki amunicji, której dyrektor chwali się, iż ma wprawdzie robotników Niemców, ale nie wątpi w ich lojalność, zresztą "na każdego robotnika Niemca amerykańskiego mamy robotnika Polaka —a ci są 200% lojalni."

JESZCZE Z KAMPANII WYBORCZEJ W STANACH

Mimo, iż wszystkie czasopisma polskie popierały Roosevelta, jednakże zgodnie z amerykańskim zwyczajem, zamieszczały również płatne ogłoszenia Willkie'go. Zabawne ogłoszenie, charakteryzujące dosadnie metody wyborów amerykańskich, podaje "Dziennik." Zawiera ono takie ustępy: "Wendell L. Willkie po kilkumiesięcznych ćwiczeniach w Fort Sill i West Point, w roku 1917 przyłączony został do 325-go regimentu artylerii i wraz z bratem Edwardem został wysłany do Francji, gdzie dał się we znaki odwiecznemu wrogowi narodu polskiego — ówczesnemu Kaiserowi i jego szwabskim wojskom." Dalej ogłoszenie podaje szereg komplementów pod adresem Polaków i kończy się zacytowaniem oświadczenia p. Willkie'go iż "35-cio milionowy naród polski ma pełne prawo do życia we własnej ojczyźnie, pod własnym rządem."

Jerzy Pomian

Skrzynka pocztowa

Jako stali i gorliwi czytelnicy "Polski Walczącej" zwracamy się do Pana Redaktora z zapytaniem, dlaczego pismo to nie drukuje felietonów Zygmunta Nowakowskiego, którego pióro tak wszyscy cenimy i do którego artykułów zatęskniliśmy. Skądinąd wiemy, że Zygmunt Nowakowski jest w W. Brytanii i pisuje do różnych pism, a do pisma "Polski Walczącej"—organu Naszej Armii—nie.

Wierzymy, że mimo wszystko wreszcie w jednym z najbliższych numerów pisma, którego Szanowny Pan jest Redaktorem — ujrzymy artykuł Z. Nowakowskiego, tak przez wszystkich lubianego i poważanego.

W nadziei, że prośbie naszej Pan Redaktor za dość uczynić zechce, prosimy przyjąć Panie Redaktorze, wyrazy szacunku i poważania.

Następują podpisy.

* * *

Jednocześnie pozwalam sobie załączyć wyrazy prawdziwego uznania dla Pisma, którego poziom ogólny, dobór i jakość artykułów są naprawdę wysokie—szczególniej w warunkach pracy, które, domyślam się, nie należą do łatwych.

Pozostaję z należytym szacunkiem
Podpis.

* * *

Ottawa, Canada, 205 Fifth Avenue, Dn. 24 października 1940.

Wielce Szanowni Panowie,

Po zetknięciu się z tygodnikiem WPanów "Polska Walcząca," który jest naprawdę świetnie redagowany, jako były żołnierz z roku 1920, postanowiłem sobie zaprenumerować to żołnierskie pismo.

Wobec tego uprzejmie proszę o podanie warunków przedpłaty i wciągnięcia mnie na listę swoich abonentów.

Łączę wyrazy należnego szacunku i pozostaje.

z Bratnim pozdrowieniem,
Piotr Budzik

W związku ze wspomnieniem z kampanii francuskiej drukowanym w nr. 34 "Polski Walczącej" nadesłano nam następujące sprostowanie. Nazwa miejscowości, pod którą odbywała się opisana walka brzmi Champaubert (nie Champauberthy), druga miejscowość wspomniana w tekście nazywa się Montmirail (nie Le Desert), również nie ścisła jest informacja o śmierci oficera, który dowodził oddziałem pod Champaubert.

* * *

Otrzymaliśmy anonimową kartę w sprawie artykułu o Szkocji, drukowanego w nr. 34 "Polski Walczącej." Wprawdzie odwieczny i słuszny zwyczaj nakazuje wrzucać anonimy do kosza, ale pragniemy dać wyraz lepszej woli, niż autor, czy autorzy tej kartki i dlatego odpowiadamy na sprawy ogólne i szczegółowe w niej poruszone. Najpierw ogólnie: chętnie słuchamy słów krytyki i prosimy o nie i za krytykę nie żywimy pretensji, jeśli jest słuszna i uczciwa. Więc przyłbica anonimowości zbędna. W kwestii szczegółowej: autorem artykułu jest kolega-żołnierz, przebywający w Szkocji, którą zna doskonale, bo przed wojną ukończył uniwersytet w Edynburgu. Za tem podział na tych, którzy siedzą w "W.C.2," bardzo bombardowanym zresztą, do drukarni (i redakcji) włącznie i na tych, co przebywają w Szkocji, spokojnej, jak wiemy i oby jak najdłużej—jest nietrafne. Nie byłoby zbędne i byłoby trafne ze względu na dobro ogólne, jeśli by autor już bez przyłbicy (i bez pudłowania) napisał sam coś o Szkocji i Szkotach.

Sztychem

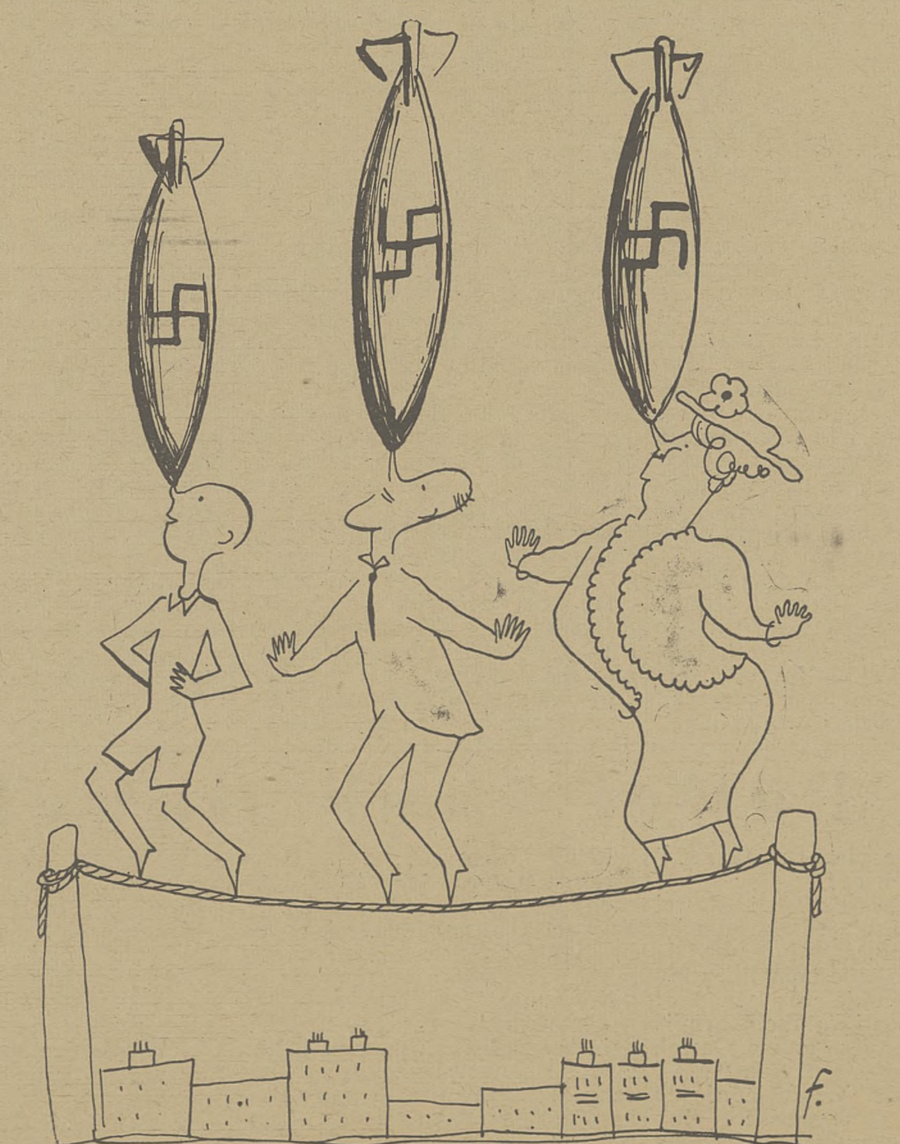
GDZIE LEPIEJ

Pytał Polaka
człek brytyjskiej nacji,
w jakiej Polakom lepiej okupacji:
w szwabskiej? w sowieckiej?
Ów rzekł:—Prawda szczera,
jedna jest tyfus, a druga—cholera.
Na te choroby, mówiąc bez obsłonki,
trza *made in England* zrobionej
szczepionki.

MĄDRZEJSZY

Niech że się tego wreszcie nauczę,
kto jest mądrzejszy—Hitler czy
Duce?
To bagatela, gdy obaj w modzie,
lecz kto mądrzejszy będzie po
szkodzie,
(nie po tej, którą zrobili, dranie,
lecz po tej, która z nimi się stanie)?

Antyk



Nowa gra towarzyska, w którą bawią się dniami i nocami wszyscy mieszkańcy Londynu.

Rysował Tef

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel. MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.